

PISMO DLA RODZIN.

№ 5. Warszawa, dnia 23 Stycznia (4 Lutego) 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

W Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.
rocznie . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . rs. 8
półrocznie . . „ 3 „ „	półrocznie . „ 4 k. „
kwartalnie . . 1 „ 50	w Austryi roczn. 14 guld.
miesięcznie . „ 50	w Prusach „ 24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12. w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

POTRZEBY.

Najprzód był wiek złoty, szczerozłoty cały, ale to podobno nie długo trwało; ponim nastał srebrny, miedziany... i tak koleją szły przemiany na gorsze. Nazon miał jeszcze szczęście wiek żelazny oglądać i lepiej dla niego, że dalszych metamorfoz nie czekał, bo nie skończyło się na tem: żelazo zamieniło się w kamień, kamień w glinę, glina na wodę, a woda w parę! Para — mgła... jedno nic! Fatum dmuchnie i będzie po wszystkiem. Tak było! a kto nie wierzy niech sprawdzi analitycznie. Każdy przecie pamięta lepsze czasy, ojciec każdego jeszcze lepsze pamięta, a jednak słyszał od swego dziada że były daleko lepsze kiedyś, bardzo liche naturalnie w porównaniu z temi które pradziad pamiętał. Gdzie ustne podanie ginie w pomroce, poradźmy się ksiąg oprawnych w dębowe deski i skórę — klamrami spiętych... Każda narzeka na obecność, chwali dawne wieki, korzy się przed gniewem Bożym, modli się o powrócenie dni szczęśliwych i przepowiada rychły koniec światu, dla wielkiej miary nieprawości jego. Gdzie księgi już milkną — słuchajmy klechdy ludowej! każda kipi złotem i skarbem zaklętym, sieje cudem każda, z każdej wielkoludy patrzą na nas jak na mrówki liche...

Więc był wiek złoty! Jakaż jego postać? wczem była treść błogości jego? — Wczem? Hm! człowiek był czysty jak nowo narodzone dziecię, nieznał co złe, co dobre, nieznał co łzy i cierpienia,— był dobrym i wszystko było dobre do koła, powstało w nim złe i wszystkie dokoła róże dostały cierni, wszystkie owoce zaczęły rosnąć na niedościgłych gałęziach. Więc tedy złe!., a skąd ono urosło? Powstało wraz z pierwszą *potrzebą*. Potrzeba była szatanem, szatan zaszczepił złe w człowieku — złe wyrosło z niego i całą ziemię bujnie pokryło.

Potrzeba była szatanem? Ha! więc krucyjata przeciw potrzebom! Z Dyjogenesem na czele wytnijmy las potrzeb, co nas od złotego wieku odcina! Precz z potrzebami, precz z kubkiem do czerpania wody, tą tylko ceną kupimy wnijście do złotego wieku. Bo i proszę, z czegoż się składa szczęście? „Ten pan zdaniem mojem, co przestał na swojem." A cóż jest nasze, czysto nasze pierwotne, źródłowe? Czem jest życie w prostocie swej i czego doń potrzeba? Potrzeba być niegłodnym, chronić się przed zimnem i gorącem, potrzeba się starać aby ród niezaginął, i aż po krańce wieczności jadł żołędzie, mieszkał w jaskiniach, dopóki starczy jaskiń i żołędzi.

Oburzą się ludzie co to i owo czytali, którym się samym nieraz udało wygłosić jakie dźwięczne zdanie.

— Stój krzykną, zapomniałeś o duchu, o szczęściu kwitnącem na gruncie cnoty. Pierwotny człowiek oddawszy skromną daninę ciału, olbrzymiał duchem, umysłem wznosił się ku niebu, a uczucia jego oczyszczone z ziemskich trosk i zabiegów dały mu raj ziemski.

Poprośmy z kolei o dokładniejszy obraz duchowego życia owej ludzkości oczyszczonej. Nastręcza się trudność? Jakie tu dać przykłady cnót gdy żołędzie są dla wszystkich w obfitości, jakie tu wskazać poloty myśli w stworzeniach karmiących się żołędziami? To tylko czuć można, w marzeniu błękitnem, ale żadną miarą tego niemożna wmieścić w logikę praktycznego życia, a nawet lepiej nam będzie przypuścić, że owe czyste istoty pierwotne żyją wprost atmosferycznem powietrzem, mając niewinność swą za jedyną odzież, a pałace z obłoków za schronienie. Niestety, tych istot nie możnaby nazwać ludźmi, bo człowiek jak wiadomo, chcąc niechcąc podlegać musi trzem nieodzownym pierwszym potrzebom.

Pokarm, strach jak trudno zdobyć dwiema dłoniami nieuzbrojonemi w pazury, wśród dzikiej przyrody, nieschlebiającego klimatu, jednem słowem w miejscu gdzie nieznajdzie żadnej porządnej restauracyi. Błądź że tu po lasach z trawiącym cię głodem, darmo upatrując żołędzi na wiosnę, czekaj aż ci się nawinie jaka latająca lub biegająca potrawa nie dalej jak na koniec twej pałki, a wśród uczty opędzaj się nieproszonym gościom kudłatym, zbrojnym w straszliwe zęby.

A schronienie? czy to łatwo znaleść takie, któregoby woda nie zalała, niedźwiedź nie odkrył, śnieg nie zasypał; a odzież! i to bez krawca, szewca, tkacza kuśmierza, i to nie dla siebie tylko, lecz dla całej rodziny, boś oto pojął podobną sobie i otoczył się latoroślami nowego pokolenia?.. Nie, panowie! w te złote czasy, każdy śmiertelnik musiał być z powołania Herkulesem, — zginąłby gdyby nim nie był!

Pewien domorosły uczony dowodzi z wielką powagą, że człowiek swe człowieczeństwo za-

wdzięcza głównie swej delikatnej skórze, niepokrytej futrem. Gdy się zeń śmieją, wpada w gniew niepohamowany, zapala się i miota jak lew raniony.

— Tak, krzyczy, gdyby miał naturalne futro, ktoby mu kazał uganiać się za wielkiem niedźwiedziem, używać chytrości w zamian siły, przeciw nieużytym kapitalistom? Coby go obchodziła przyroda, licho by mu kazało budować coraz sztuczniejsze gniazda, przyswajać słabsze zwierzęta, zwracać uwagę na ogień, i ten ukradziony bogom przenosić do swojej siedziby? Niechciał być żywym termometrem. To właśnie jest ziarno postępu, i jeżeli chcecie wyprowadzę wam stąd całą gienezę ulepszeń, odkryć, wynalazków, aż do ulepszonego guzika z patentem.

— Ależ łaskawco, wołają broniący się ostatniemi ładunkami przeciwnicy, do tego wszystkiego musiał on posiadać rozum, jaźń, um, inteligencyję, musiał mieć to cóś, czego nieposiadają inne stworzenia znajdujące się wtem samem co on położeniu!

— Rozum! człowiek potem dopiero poszedł po rozum do głowy. A choćby go też i miał, to posiadając ostre kły, pazury i futro, zakopałby talenta w ziemię, jak ów niedobry sługa i obywałby się bez niepotrzebnych wymysłów, do których go dopiero twarda *necessitas* zmusiła. Ztąd też to wszyscy którym pieczone gołąbki i t. d.

— Potrzeba jest matką wynalazków, zakonkludował pewien poważny myśliciel i chciał tem zakończyć gwarną dysputę.

— Mało! wołał zapamiętały uczony. Jest matką wszystkiego co mieliśmy, mamy lub mieć będziemy. Potrzeby utworzyły człowieka, oświeciły go, umoralniły, podniosły, uczyniły potężnym, wielkim, dały mu w ręce całą kulę ziemską, uczyniły twórcą oddzielnego od natury ludzkiego świata, dadzą mu wreszcie panowanie nad sobą i szczęście, gdy go doprowadzą do poznania i spełnienia że jest wolną i świadomą cząstką niezmiernego mrowiska...

Uczonym, a zwłaszcza domorosłym dużo jest wolno, nie mniej jednak, jak ludziom zmuszonym do słuchania domorosłych teoryj i mrzonek niemających związku z porządkiem dziennym; z gromadzenie więc owo wysłuchawszy długiego ataku słów i o ciemnościach i o jutrzence nowych dni, o przekopie suezkim i działach Armstronga, o szkołach ludowych i wielkich rewolucyjach, o wielmożnym osobistym interesie i zlaniu się dążeń, o miłości własnej i tejże miłości rozlanej na ogół cały— wysłuchawszy to wszystko i przesiawszy przez sito chłodnej krytyki, wyciągnięto wniosek... jaki? Że wiek złoty był, a potrzeby są falą która nas co raz dalej od niego odnosi, co też właśnie jako założenie położyliśmy na wstępie gawędy.

Prawd nietrzeba dowodzić, bo są widoczne, owóż więc najmniejszej racyi nie mają ci wszyscy co wołają że wiek złoty nie *za* — lecz *przed* nami, a po staremu ten szczęśliwy tylko co potrzeb ma najmniej, po staremu filozofem się zwie ten kto swe wymagania, dążenia i myśli otoczy murem dokoła tak wysokim jak filozofija, tak mocnym jak przekonania, że świat ten cały, niewart aby dla jego marności naruszać swoję spokojność. Aby być mędrcem trzeba tylko umieć powiedzieć światu: niezasłaniaj mi słońca na którem się wygrzewam! Niech tam sobie łamią głowy, niech się pocą i biją o lepsze ci wszyscy którym niebo nie dało błogiej mądrości, ja będę chwalić Boga moim świętym spokojem. Jeżeli mam kapitalik oddam go na mały procent, odmierzę sobie potem ile mam codziennie spożywać bułek przy kawie ile wydawać na skromny obiadek, na ogrzanie swego pokoiku, niezłe cygarko i na przegraną w wista. Bóg z wami! Mówcie co chcecie ale najlepszą cząstkę sobie obrałem. Społeczeństwo daje mi wszystko czego wymagam, biorę i więcej nie pragnę, kwituję je nawet z wdzięczności za moję łaskawość.

Otóż mamy adepta nauki o ograniczeniu potrzeb, mamy przykład możliwości złotego wieku za dni naszych. Uczeń Dyjogenesa może śmiało stanąć do konkursu przedstawicieli rozlicznych mniemań z pewną nadzieją złotego medalu.

Patrzcie jak rozkosznie wygląda, jaki tłuściutki, rumiany, jak mu lubo, jak dobrze, jak mu nic nie trzeba... Warto upowszechniać jego systemat. Cóż kiedy dobry — bo dobry, ale nie praktyczny, nie wszyscy z jednakim skutkiem mogą tej nauki słuchać choćby ją nawet z serca wyznawali. Jakże tu np. poradzić z temi którym się nie udało dostać kapitaliku ani własną pracą ani po ojcach, którzy przyszli na świat tak w cielesnej jak finansowej nagości?

— Nie, moi panowie, wy nie możecie do mędrców należeć, wiek złoty nie dla was.

A oto idą inni i pobożnie wzdychają do raju obiecanego przez mędrców; mają nawet niejakie kwalifikacyje.

Cóż potem! Ten ma rodzinę, ten obowiązki, długi, nawyknienia. Idźcie sobie z Bogiem i znoście wasz los stoicznie.

Tymczasem odkrycie talizmanu szczęścia rozchodzi się po ziemi, ludzie powołani i nie powołani zapatrzywszy się na szczęśliwych adeptów mądrości, hurmem chcą się zapisywać pod sztandar filozofii, rzucają pod nogi mędrców swe niespokojne żądze i pragnienia.

— Na co się mamy męczyć za siebie i za innych.

— Ja tylko tyle sieję zboża ile sam potrzebuję! Ja tylko chowam tyle owiec ile potrzebuję na kożuch. Ja buty szyję dla siebie i dla tego kto mnie w chléb i wodę zaopatrzy. Ja dziś zaraz zwijam fabrykę, a na co mi ten kłopot!

— Ja tylko dla siebie chleb piekę!...

Strach co się dzieje. Nauka o złotym wieku, jak deszcz złoty opadła na gromady profanów, wyznawcy mądrości strasznie zaniepojeni. Szczęściem znajduje się inny silniejszy zastęp, który niezaprzestając swych zajęć woła:

— Szemrania sobkostwa i ograniczonej ociężałości nie zagłuszą głosu natury i praw ludzkiego świata.

My nie możemy ustać w pracy jak nieustaje rosnąć drzewo w którem soki pędzą do góry. Czujemy tysiąc potrzeb, a one są naszem bogactwem naszą siłą i potęgą; w zadawalnianiu ich znajdujemy szczęście, nie zaś w tłumieniu i karłowaceniu swojej istoty. Nie podcinamy skrzydeł—ale rozszerzamy je na przestwór, niech nas niosą na dalekie szczyty, gdzie wszystko dobre się spełni. Oddychamy coraz szerzej, patrzymy coraz dalej, czujemy coraz potężniej.

Wstręt dla ślimaczej doli! Zapał przeciw zawodom, co nam tamują drogę! Lepsze; zawsze lepsze! to hasło człowiecze dane mu przez naturę, wzmocnione i uzacnione przez rozum.

My wzdychamy do dobra ale nie jak ci co nic niezdziaławszy, z goryczą oglądają się za siebie, nie jak ci co wyczerpawszy siły nie wierzą w pustą dla nich przyszłość...

— Tak, tak! wołają filozofowie ucieszeni że ich wybawiono z kłopotu, pracujcie, idźcie naprzód, my wam dajemy błogosławieństwo. Bez was źle by nam było, nie byłoby komu wyciągać dla nas pieczonych kartofli z popiołu, dodają po cichu z uśmiechem pobłażania. Stanęło więc na tem, że filozofami złotego wieku spożywającemi swe skromne żołędzie, mogą być tylko wybrańcy, że tylko mędrcy mogą sobie usiąść w cichem schronieniu gdzie niedochodzi brzęk życiowej kuchni, ani gwar życiowego forum, więc ci tylko którym los, natura, rozum i uczucia jednozgodnie rzekły: Pogardźcie wszystkiem, i odrzućcie precz wszystko co nie jest waszem *ja*, unikajcie skrzętnie wszystkiego co was odrywa od spokojnej kontemplancyi własnej doskonałości, kłóci spokój i niepozwala kosztować skutków waszego talizmanu.

Wiek złoty więc, owo *procul negotiis*, stracone dziś bezpowrotnie dla ludzkości, dostępny jest tylko dla wybrańców, reszta zaś, plebs, niemający w sobie kwietyzmu ducha, niepowołany do „nirwany“ indyjskiej, muszą coraz z nową siłą i zapałem iść do walki pod sztandarem potrzeb. I idą ludzie, dopomóż im Boże, i wierzą nie w raj utracony ale zdobyty, a dążą doń, nie marzeniem potrzeb lecz zadawalnianiem ich, coraz rozłożyściej rozwijających się jak zdobyte plony zasiewane na coraz szerszych rozłogach. Idzie im nie o ilość potrzeb do zaspokojenia lecz o jakość. Fałszywe, zgubne, nierozsądne obcinają tylko, jak się obcina wilki i raki na szlachetnem owocowem drzewie.

„Powiedz mi jakie masz towarzystwo, a odgadnę kim jesteś“ Na sto różnych sposobów słyszałem tę propozycyją zamiany przenikliwości za szczerość, a w każdej jest część prawdy. Powiedz jak mieszkasz, co czytasz, co cię bawi, jak kochasz, co kochasz, nawet co najchętniej spożywasz?... sprobujemy uogólnić te pytania: powiedz mi jakie masz potrzeby, a wtedy bez zawodu dam ci przed oczy wierny twój obraz. Powiedz tylko szczerze, naturalnie jeżeli sam wiesz, i te które nosisz w głębi serca i te, za któremi najpilniej gonisz; wszystkie mi się przydadzą, pierwsze nauczą mię czem możesz być gdyby nie to i owo, drugie czem jesteś i będziesz przytym samym kierunku jak dotąd.

Ilość i jakość, zwłaszcza ich wzajemny do siebie stosunek, ich stopień natężenia, sposób w jaki bywają zaspakajane, będą stanowić nieomylną próbę charakteru i moralnej wartości człowieka. Potrzeby niewcielone jeszcze w czyny to kiełkujące nasiona; z otaczających

je już dojrzałych roślin, ich gatunku i wzrostu łatwo przewidzieć jaki jest grunt pod niemi, czy na nim zejdą i jak zejdą owe nasiona przyszłości a gdy zeszły czy wzrosną obok towarzyszy? Przemyślny jaki człowiek mógłby tak przemówić, czując że ma bogaty materyjał pod ręką, potem usiąść gdzie na placu publicznym i sprzedawać mądrość, obdarzać ludzi cennym skarbem: poznaniem samego siebie.

Przychodzą doń różni i różne składając w ułożonych po temu szematach spisaną szczerą spowiedź tak codziennych potrzeb jak marzeń najskrytszych, upodobań chwilowych i pragnień spać niedających, dążeń pochłaniających całą działalność i odświętnych porywów ducha: a mąż przenikliwej mądrości po półgodzinnem namyśle wydaje opatrzoną stęplem, treściwą wyrocznię, w której penitent przeglądać się już może do końca życia, zawiesiwszy szacowną kartę nad łóżkiem, lub kryjąc ją w najgłębszym zakątku biurka.

Jakież olbrzymie skutki wywiera otwarcie podobnego audytoryjum! Już nie ma ludzi złych, zaślepionych, zarozumiałych, przepadają brudy moralne, ułomności wady, uprzedzenia, przesądy, śmieszności, niskie popędy, wszystko znika z powierzchni ziemi, każdy kto ze wstydem obaczył swój wizerunek, biegnie co prędzej do źródła, myć brudne plamy swej twarzy, zbiera się w sobie i przemyśliwa jakby upatrzone dodatnie rysy uczynić cechowemi rysami swego charakteru. Zmienia się postać świata aniołowie spieszą śpiewać „victoryja" ludziom dobrej woli....

Lecz cóż spostrzegam! jakież to nieznośne *ale* chwyta mnie za poły gdy się już zrywam do lotu nadpowietrznym szlakiem? Co to za brzydka rzecz te refleksyje chłodne! Zachodzą tu dwie trudności: jedna co do prawdy zeznań, druga co do poddania się logice prawd w życiu. Obie straszne, bo rzeczywiste i niezwyciężone! Prawdomówność zeznających nie leży w ich możności, bo na nieszczęście nie jesteśmy świadomi swych dążeń, pragnień i potrzeb osobistych które mamy w sobie bez braku, nie mówiąc już o tych które nam mieć wypada; więc nie jest możliwą rzeczą oddać je pod sąd, dla otrzymania rzetelnego bilansu naszej istoty, równie jak niedoścignioną jest mrzonką obracać młyn wodą przez tenże młyn czerpaną. Powtóre, uznawana nawet prawda nie przenika do naszych czynów, choćby miała pewność matematycznego dowodzenia, bo logika prawd jest inna, a inna logika charakteru i życia człowieka, i nie prawdy to wcale nami kierują. Niewierzysz czytelniku? mniejsza o to, sprawdzaj codziennie na sobie.

A więc, cała moja uciecha przedwczesna była! Szkoda! tak dobrą byłoby rzeczą wiedzieć czego potrzebujemy i co nam czynić wypada. Upadł w zarodku wielki wynalazek. Może choć odłamki jego przydadzą się nam na co? Zewnętrzna, powierzchowna obserwacyja potrzeb jednostek i ogółu czyż nam nie da miary ich wartości? Owszem, nawet dość dokładną jeżeli bacznie a bezstronnie śledzić będziemy. Zewnętrzne oznaki, będą jakby pojedyńczemi głoskami z których się złoży opinija. A więc do dzieła. Drażliwa to bardzo sprawa, czy nie lepiej zasłonić się jakim systematem? Rzeczywiście lepiej; jeśli się smutny wniosek odkryje będzie to winą nie moją ale systemu.

Potrzeby ludzkie rozklasyfikuję (choćby mię nazwano zwolennikiem troistości) na trzy gromady: na potrzeby *fizyczne*, *moralne* i potrzeby *próżności*. Granice między temi podziałami nie mogą być ścisłe, bo jedne z drugiemi zawsze są złączone organicznie, zmieszane często w niewyraźnych odcieniach. Człowiek cywilizowany w każdej prawie z swych potrzeb odszuka te wszystkie trzy pierwiastki, a jednak w ich rozbiorze nie rzadko można się pomylić. Nie dość na tem, potrzeby płynąc niejako z trzech źródeł rozmaitej bywają mocy i ustosunkowania: z cechami naturalności, nałogu lub co najrzadziej, rozumnej świadomości. Najsilniejsze są...może fizyczne? Nie!—Próżnościowe. Rozmaicie zresztą bywa, noszą znamiona naturalności lub nałogu; moralne zaś, a jeszcze moralno-świadome: to cenne dyjamenty; dużo się o nich mówi wysoko szacuje, lecz wrzeczywistem życiu znajdują one taki stosunek do innych potrzeb jak azot do dwu innych pierwiastków powietrza... Złe porównanie! Jak pożywne ziarno do całej rośliny, gdy fizyczne są pniem jej, a wytwory próżności pasożytną pleśnią lub szkodliwym robakiem. Zresztą nie mam szczęścia do porównań! Wróćmy do biegu rzeczy. Owe troiste potrzeby chyba od samych pierwocin ludzkiego bytu na ziemi związane są z człowiekiem, bo na wszystkich szczeblach oświaty towarzyszą mu. W postępowym rozwoju rozszerzają się, uszlachetniają, grube potrzeby uidealniają się, natura ludzka umoralnia się coraz i wchodzi pod panowanie rozumu. Lecz na nieszczęście, nic na świecie nie rozwija się w prostym kierunku bez zboczeń i przeszkód, więc i natura ludzka w różnych warunkach różnym podlega zboczeniom, potrzeby człowieka nie dążą ku rzeczywistemu dobru, wiodą na złe drogi, poniżają jednostki gubią społeczeństwa. Potrzeby wszystkie nieopromienione światłem moralnego dobra służąc namiętnościom, cisną barki i ciągną łańcuch smutnych następstw po werpedach występku, w plątaninie zboczeń ubezwładniają człowieka i gubią. Bywają więc ciężkie, bo są zdrożne, fałszywe; bywają ciężkie gry w słabości, niezdolniśmy ich zadowolnić, cierpimy wobec najświętszych i najsłuszniejszych pragnień przez prostą słabość naszą, lub nieumiejętność w wyborze ważniejszych... To trudno! To konieczność; jeśliśmy słabi, zabije nas, jeśliśmy silni zmusi do przecięcia gordyjskiego węzła okoliczności.

Są ciężkie, są gniotące potrzeby a najcięższemi...czy fizyczne, materyjalne potrzeby? Nie. Potrzeby próżności.

Trojakiego rodzaju potrzeby w różnych społeczeństwach różną mają siłę panowania nad ogółem; w jakimże stopniu u nas one panują? To pytanie zdaje się być bardziej interesujące nad trudną do orzeczenia teoryją potrzeb.

Dość przyjrzeć się bacznie a serdecznie naszemu życiu aby odpowiedzieć na to pytanie. Jeśliby szło o najgłówniejsze, wymieniłbym bez wahania wyższe moralne; materyjalne nazwałbym najkłopotliwszemi, a już najsilniej panującemi: potrzeby próżności niestety.

Myślą kierował entuzyjazm; widna nawet z pod plam ciemnoty, świecąca nawet w czasach upadku, i wyuzdana, w zaciśniętym widnokręgu pojęć, lekkomyślność serdeczna nieoględność i zaślepienie leciały krakowską czwórką uciechy; duma pełna fantazyi, niezdolna do nienawiści tajemnej, a piętno uczciwości cenienie wyżej moralnych nad materyjalne pobudki — pozostały zawsze wybitną cechą polskiego charakteru.

Wszystko to prawda, a jednak... rumieńmy się wyznając że te wszystkie piękne rzeczy były i są jakby skrzydłem ptaka służącem mu raczej do ozdoby niż do lotu. Moralne potrzeby i pobudki któremi na każdym kroku lubimy się szczycić rzeczywiście mało ważą na szali naszego życia i zawsze gdy nie idzie o gorące słowo wśród biesiady, nie o poradę lecz o czyn cichy a ważny, zrzekamy się potrzeby moralnej, gdy obok niej stanie, choćby potrzeba próżności Nie! moralne potrzeby, głębokie, istotne są w nas jako owe zastępy nieurodzonych jeszcze dusz niemowlęcych o których mówi poeta, zastępy dusz krążących między niebem a ziemią. To potrzeby nieujęte i jak marzenie nieprzystające do codziennych prac żywota, a jeśli się gdzie ujawniają to chyba w próżności. Objaw ten tłumaczy nam dla czego mimo gotowości do poświęceń w entuzyjazmie, tak trudno o czyn dla moralnych celów, że gdzie trza gorliwej roboty ujętej w ramę obowiązku mamy tylko słowa a narzekania.

Smutno to jest, przecież nie tyle godni pożałowania jesteśmy jak inni u których potrzeby dobrobytu stały się celem głównym i z nich dopiero mają się wyrodzić moralne potrzeby. W nas istnieją one choć tylko w eterycznej formie, *trzeba więc je oprzeć na tem co gdzieindziej stanowi wszystko*, na potrzebach materyjalnych, *wcielić je trzeba w materyją, uzacnić niemi i podnieść fizyczne potrzeby* gnębiące i niezaspokojone, bez których rozwój moralny jest bezcielesną ideą, jak marzenie nędzarza. Zboczenia moralnych potrzeb nie będą się wtedy jednoczyć z potrzebami próżności i w nich szukać zadowolenia, jak to się zwykle dzieje.

Udajmy się do praktyki życia po przykłady. Jakież to potrzeby przedstawiają się pod postacią srogich utrapień? Weźmy człowieka postawionego niżej nad możność dawniejszą. Czy go boli niedostatek dawnych wygód, przymus do cięższej pracy? Nie, ciężej mu nierównie dolega utrata dawnego blasku, cierpi w zrzeczeniu się mnóstwa szczegółów próżności co stanowiły jego poprzednie życie, a z rzeka się ich najpóźniej. Łatwiej mu przywyknąć do suchych kartofli, niż do porzucenia pozorów pańskości. Małoż można naliczyć ludzi, co oszczędzają na najistotniejszych fizycznych potrzebach aż do pokarmu dzieci i domowników, aż do zrzeczenia się własnych nieodzownych potrzeb których nikt nie widzi a te mrówcze oszczędności topią w morzu zbytku, na blichtr i efekt, aby tylko w mówić w samych siebie że nie stoją niżej od możniejszych, sadząc się na pozory świetności. Wieluż jest takich co zamknąwszy oczy na wyczerpujące się, opuszczone źródło dochodu, rzucają się w wir życia nad stan, kryjąc nieraz rozpacz duszy, aby choć

jeszcze lat parę dobłyszczeć? Nie mówi się już o ludziach mogących w całej pełni używać najwyższego szczęścia: zadowolenia próżności: to ich cel normalny, to się nazywa używaniem życia:

Idźmy dalej. Któż z panów (wcale nie przez duże P.) miejskich mając do rozporządzenia jakąś sumkę, waha się długo nad jej użyciem. Potrzeb ma dużo: upewnienie bytu swego, zapłacenie długu...na takie rzeczy szkoda wyrzucać pieniądze, on przyjmie udział w składkowym obiedzie, wyprawi śniadanko, lub puści rubelki po zielonym stoliku.

Może on to czyni przez obżarstwo, szulerstwo? Broń Boże! to święta potrzeba próżności.

Młoda kokieta, nie mówię już *panna co jest do wzięcia*, czyż pozostawia choć setną cześć swych myśli na sprawy leżące po za obrębem jej powierzchowności? jakaż myśl głębiej panuje w jej duszy nad interes ubrania się?

Nie obwiniajmy jej zbytecznie, postać rzeczy tysiąc razy więcej u nas waży nad jej treść; w każdej potrzebie naszej na próżność odliczamy ogromne odsetki. Tego wymaga nasza ambicyja, tego godność, położenie towarzyskie, tradycyjonalny zwyczaj, nałóg, a wszystko są to rzeczy nader kosztowne i nader nam drogie.

Nieodrzeczy będzie tu przeczytać kartkę z konotatki pewnego obywatela wiejskiego, po powrocie z Warszawy dokąd na wystawę jeździł z żoną i córkami.

„Nie żałuję żem jeździł. Należało się widzieć że mamy coś przecie, serce się radowało myślą że ku lepszemu wszystko się kieruje. Djabelnie mnie kosztuje, ale na takiej uroczystości być—to prawie obowiązek.“ Dalej idą rachunki z adnotacyjami:

„Pobyt czterodniowy z teatrem, karetą wynajętą (nasza staroświecka zbytecznie) z życiem i innemi wydatkami rs. 150 sprawunki dla kobiet (one powiadają że to na długo wystarczy rs. 250) (jabym i trzech groszy nie dał). Sprawunki gospodarskie 30. Kolacyjka z Warszawiankami i sąsiadami, (wstyd mi doprawdy) rs. 125 i to licho wie za co, strasznie bo obdzierają, a nie można było przecie na sucho cieszyć się powodzeniem wystawy i nadziejami na przyszłość. (Dałem trzy (3) ruble srebrem, na jakąś bardzo piękną składkę. To podobno ogłoszą w gazetach.) Droga i różne drobiazgi rs. 80. Strach co się pieniędzy wydało, trza się będzie wziąść ostro do oszczędności.“ Na drugiej stronie notatka guwernantki na parę książek pedagogicznych i adres redakcyi ludowego pisma, przekreślone poprzecznym napisem „kiedy indziej.“ a pod nią jeszcze adnotacyja: „Wpakowano mi jakieś znakomite dzieło za rs. 1 i kop. 50, licho mi po tem, ale cóż robić, trza wspierać literaturę.“

Dokument nie potrzebuje komentarza. My idźmy dalej.

Każdy stan wyrobił sobie swe nieodzowne potrzeby. Ten się nieobejdzie bez knajpy, ten bez karcianych zebrań, ci bez jarmarku, inni bez pijatyki, tu potrzebne są od czasu do czasu zebrania w celu wystawy nowych strojów, tam wyjazd do wód, tam za granicę, owdzie błyśnięcie balikiem. Trudno by wyliczyć mnogość tych potrzeb płynących z próżności i nie tylko z próżności, bo z pobudek moralnych, szukających zadowolenia w nędznych uciechach, zaspakajających istoty puste bez wyższej moralnej wartości.

Jednostki i całe klassy społeczne tworzą sobie sztuczny świat potrzeb w którym istotny stan rzeczy najmniej czuć się daje. Każdego człowieka otacza właściwa jeszcze atmosfera błędnego kółka w którem się obraca; potrzeby rzeczywiste, wspólne wszystkim potrzeby, zasłonione mnóstwem drobniutkich kojarzących się dziwnie w około niego interesów, i nawyknień, dochodzą go zaledwie jak odgłosy obcego świata. Materyjalne dążenia, wyczerpane szerzej nad osobisty interes, niepowiązane moralną potrzebą wspólnego dobra, czynią ze społeczeństwa pole bezładnej, niedołężnej walki. Względy moralne, obywatelsko-społeczne uważają się za coś niemającego żadnej łączności z dobrobytem jednostek, a czyn każdy niemający wprost na celu osobistej potrzeby (wiemy już jakiemi one bywają), potrzeby dającej się namacać w dziennem życiu, stoi po za obrębem naszego działania.

Bądź co bądź przecież, potrzeb jest mnóstwo, otaczają nas truduości w zadość uczynieniu im. To dobrze! To będzie tak, jak się działo z człowiekiem nim został skłonionym do wykradzenia bogom ognia: I z nas w końcu potrzeby wykrzeszą tę iskrę tlejącą gdzieś w duszy, tę siłę moralną, co prowadzona w życie uczyni nas silniejszemi i szczęśliwszemi od tych, którzy jej wśród walki o lepsze, nie mają.

Tomasz Zan.

WYCHOWANIE LUDU.

PRZEZ

Emila Laveley'a

przełożył

Ludwik Szteinbok.

(Ciąg dalszy)

Sankcyja kary proponowana przez p. Girardin, w połączeniu tylko z innemi karami, może być dobrą, sama przez się byłaby niewystarczającą.

W Prusach system prawa pod tym względem jest dokładny. Oto główne rozporządzenie prawa z r. 1819, traktujące w tytule IV o tej materyi. *).

Rodzice, opiekunowie i ci od których dzieci zależą (fabrykanci, majstrowie i t. p.), zmuszeni są dawać im odpowiednią naukę od 7-o do 14 roku. Nauczyciel decyduje czy przed 7-ym rokiem dziecko zdolne jest wstąpić do szkoły, a komitet nadzorczy (schulvorstand) zgadza się na tę decyzyją lub nie. Dziecko, które przed skończeniem 14 lat ukończyło całkowity kurs nauki początkowej, może być odebrane ze szkoły tylko za decyzyją komitetu poświadczoną przez zarząd szkolny, a to po złożeniu przed tym komitetem zadawalającego egzaminu.

Komitety i władze municypalne, sporządzają corocznie listę dzieci będących w wieku szkolnym i tych, które uczęszczają do szkół publicznych. Komitety te czuwają, aby rodzice nie udzielając publicznej nauki dzieciom, prywatnie je przynajmniej kształcili.

Rodzice lub pryncypałowie dzieci, powinni czuwać aby one przez czas prawem określony, regularnie uczęszczały do szkoły. Nauczyciele ze swej strony utrzymują listy obecności, które co 15 dni powinny być przedstawiane komitetom nadzorczym.

Potrzeba się przedewszystkiem przyczyniać do ułatwiania rodzicom posyłania dzieci do szkoły; czyniąc to w różny sposób, albo dostarczając im przedmiotów, potrzebnych dzieciom do nauki, albo też odziewając te dzieci wrazie potrzeby.

Jeżeli rodzice zaniedbują kształcenie dzieci, naprzód pastorowie, a następnie komitety nadzorcze udzielają im naganę, a jeżeli ta nie skutkuje, dzieci mogą być zaprowadzone do szkoły przez ajenta władzy municypalnej, a rodzice skazani na karę pieniężną, więzienie, lub wykonanie jakiej pracy na korzyść gminy, kary te mogą być stopniowo powiększane, nie przechodząc jednak zakresu kar poprawczych.

Kary wyrzeka komitet nadzorczy, a policyja obowiązana jest egzekwować takowe.

W razie uchylania się rodziców od tych kar, władze, na wezwanie komitetu nadzorczego, udzielają pomocy.

Jeżeli wszystkie te środki jeszcze są niewystarczające, daje się dzieciom opiekuna ad hoc, który czuwa nad ich nauką.

W Szwajcaryi, krajach skandynawskich, słowem wszędzie gdzie jest przymusowe nauczanie, też same prawie są przepisy.

P. Carnot Minister Oświecenia publicznego we Francyi, zaprojektował w r. 1848 wprowadzenie przymusowego nauczania. Projekt ten ułożony w duchu prawodawstwa pruskiego, zawiera w tytule IV następujące rozporządzenia:

Art: 26. Ojcowie których dzieci, mając 10 lat skończonych, nie uczą się jeszcze i do żadnych szkół nie uczęszczają, mają być zmuszani przez mera do przedstawiania swych dzieci w komisyi Egzaminacyjnej.

Art: 27. Niewypełniający powyższego artykułu, mają być pozywani przed sędziego kryminalnego, który im udziela napomnienie; wyrok wyrzekający to napomnienie będzie wisiał w merostwie przez miesiąc jeden.

Art: 28. Jeżeli komisyja Egzaminacyjna przekona się w roku następnym, że napomnienie nie skutkowało, zapozywa ojca przed Trybunał cywilny okręgowy, skazuje go na karę pieniężną od 20 do 500 franków i zawiesza w używaniu praw wyborczych, nie mniej jak przez 1 rok, nie więcej zaś jak przez 5 lat. Kara ta od chwili kiedy komisyja przekona się że dziecko otrzymało początkowe wykształcenie, przestaje ciążyć na ojcu.

Art: 29. Te same rozporządzenia tyczą się i opiekunów.

Korzystając z doświadczenia innych narodów, oraz szanując swobodę sposobu nauczania, następujące rozporządzenia potrzebne są, aby przymusowe nauczanie wprowadzić w praktykę.

*). Patrz Handbuch der Schulgesetzgebung Preussens str. 98.

1. Ogłosić przymusowe nauczanie dzieci mających od 6 do 12 lub od 7 do 13 lat skończonych. Wiek od 6 do 12 lat komisyje lekarskie uznały za odpowiedni, zaś od 7 do 13 lat byłby więcej sprzyjający postępowi nauki. Ściśle rzeczy biorąc to 4 lata od 8 do 12, wystarczyłyby może, gdyby po upływie tego czasu, dzieci chociaż raz w tydzień mogły powtarzać to; czego się nauczyły.

2. Wymagać aby dzieci nie uczęszczające do szkół publicznych, przystępowały w r. 8, 10 i 12 do egzaminów, bo tym tylko sposobem komitety nadzorcze mogą się przekonać, że rodzice wypełniają rzeczywiście swoje obowiązki, bez tej ostrożności oni wymijaliby prawo i posyłaliby dzieci do jednej z tych szkół, w której one nie uczyłyby się, lecz przy pracy siedzącej od 12 do 14 godzin dziennie, rujnowałyby zdrowie i wyczerpywały siły.

Opieka nadzorcza lub komitet szkolny sporządzałby listę dzieci w wieku szkolnym będących, z nadmienieniem, w jaki one się sposób kształcą, nauczyciele zaś szkół publicznych, posiadaliby liczbę obecności uczniów, któraby komitet miejscowy co 15 dni poświadczał i przedstawiał corocznie inspektorowi okręgowemu. Dwu członków komitetu pod przewodnictwem Inspektora, egzaminowaliby dzieci nieuczęszczające do szkół publicznych. Wszystkie dzieci od 12 do 13 lat mające przystępowałyby do egzaminu i wrazie złożenia go dostatecznie, otrzymywałyby patenty.

3. Wyłączać rodziców zaniedbujących naukę dzieci od udziału we wsparciach publicznych, a oszczędności te przeznaczać na odzież i pokarm dla dzieci i na szkołę.

W wielu miastach Belgijskich podobne rozporządzenia już istnieją, z bardzo zadawalającemi rezultatami. Taż sama zasada została zastosowana w Ypres rozporządzeniem które datuje się od r. 1525 a które trwa aż do dzisiejszych czasów.

Jeżeli rodzice pomimo pewnych korzyści jakie otrzymują, posyłając dzieci do szkół, nie robią tego i pozostawiają je bez nauki, komitet nakłada na nich karę pieniężną od 5 do 40 fran., a fundusz ten obraca na rzecz szkoły.

Wrazie potrzeby, komitet naznacza dziecku opiekuna, który wypełnia ze swej strony obowiązek czuwania nad nauką dziecka, czego zaniedbuje ojciec, niegodny powagi rodzicielskiej.

4. Nieumiejącym czytać i pisać, dawać pierszeństwo w losowaniu przy poborze wojskowym.

Możnaby także zatrzymywać w służbie żołnierzy nie umiejących czytać i pisać, do czasu kiedy się tego nauczą, jak to ma miejsce w nowem prawie rosyjskiem, czyniącem służbę wojskową obowiązującą dla wszystkich.

Temi więc rozporządzeniami prawo jednocześnie wynagradza rodziców, którzy wypełniają obowiązek kształcenia dzieci, i karze tych, którzy go nie wypełniają, jak również karze dzieci które nie skorzystały z czasu nauki, nie pozbyły się lenistwa i zaniedbały powtarzać to, czego się nauczyły.

Prawo czyniące naukę przymusową, winno iść w parze z prawem które zabrania dzieciom pracować w fabrykach i kopalniach węgla i t. p.

Co się zaś tyczy strat na jakie narażeni będą rodzice biedni, którzy przez zarobek dzieci podwajają swój dochód, takowe kompensowałyby się zasiłkami, jakie dzieci otrzymywałyby w szkole, już to przez żywienie, już to przez odziewanie.

Nadto, jak to ma już miejsce w Anglii; i stanach zjednoczonych, osoby dobroczynne i poświęcone postępowi oświaty, powinny wspólnie z gminami i instytucyjami dobroczynnemi łączyć się, *) dla rozdzielania w szkole między biedne dzieci żywości i odzieży. Tym sposobem znikłaby prawdziwa trudność, która przeszkadza rodzicom w wypełnieniu obowiązku przez naturę na nich nałożonego. Rodziny biedne, które w pracy małych dzieci szukają powiększenia swego dochodu, znalazłyby w pomocy udzielanej dzieciom w szkole, wynagrodzenie tego, czego ich pozbawia przepis prawa.

Wyszukać praktyczne środki przez któreby ludność przyjęła przymusową naukę, jest to rozwiązać ważne zadanie. Zdaje się że zbytecznem byłoby więcej jeszcze przekonywać o jej użyteczności i konieczności. Świadectwo ludzi kompetentnych, doświadczenie wielu lat i porównanie rezultatów różnych krajów, pokazują że bez przymusowej nauki, oświata nie przeniknie najniższych sfer społeczeństwa, gdzie właśnie dla zbawienia tego społeczeństwa, jak również dla rozwijania się jednostek, przymusowa nauka jest niezbędną.

Lecz nie dosyć jeszcze ustanowić ten przymus, zrobiono to bowiem we Włoszech i Hiszpanii, a rezultaty są tam jeszcze bardzo mało zadawalniające, trzebaby go zrobić ważnym interesem kraju, interesem, dla którego wszyscy dobrzy obywatele, powinniby się poświęcić.

d. c. n.

ŚWIETNE WIDOKI PANI MARCINOWEJ.

OBRAZEK Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.

przez **Felicyjana.**

(ciąg dalszy)

Tymczasem zaś pan Edward natychmiast do Agatki się przysiadł, i poczęli szeptać bardzo poufale, śmiejąc się na całe gardło, nie wiadomo z kogo? Tedy, jak się patrzy, nie było co popasać dłużej, i Jerzuś zabrał się ku wyjściu. Wtedy bardzo uprzejmie zaczęto go za rękę ściskać. Pani Marcinowa oświadczyła: „że ma nadzieję,“ Agatka że „się spodziewa,“ pan Jacenty że „nie wątpi“ — a pan Edward odprowadził go aż na ulicę, dając mu „słowo honoru“ jak się zapewne po salonach robić zwykło. W skutek tego wszystkiego, Jerzuś oszołomiony, tylko co nie wpadł pod jakąś dorożkę (miała numer 13) czego gdy szczęściem uniknął, zepchnęli go w rynsztok ludzie niosący fortepian.

— Źle się święci — dumał pochmurno, idąc w swoję drogę. — Wszystkim się tam w rozumach poprzewracało do góry nogami. Taki panicz — no — podobać się może — gładki jest, nie ma gadania. A znów panna Agata — zapewnie — czy to ona dla szewca? Ha! żeby się było pośpieszyć, to kto wie? — ale teraz tamten jej w głowę zajechał. Czy się to tylko taki choć ożeni? A gdyby się i ożenił, to co z tego? Kto go wie, co on zajeden, i czy ma z czego utrzymać żonę, jak ja nieprzymierzając? U mnie ptasiego mleka tylko by jej brakło. Siedziałaby sobie spokojnie i wyszywała paciorkami, czy jakby tam chciała.

Poskrobał się w głowę.

— Namyślałem się i namyślałem — odkładałem z dnia na dzień — a ten oto tylko się pokazał — jużci, jak z bicza trzasł, kawaler do romansu. Nie ma jak być wyszczekanym — ale ja tam takich rzeczy nie potrafię — to darmo.

Stopniowo gniew go ogarniać począł.

— Pokołowacieli z tym tam swoim panem Edwardem Niedopytalskim. Cóż tu tak wielkiego? Żebym sobie jak on łeb aż do karku przedzielił, i per*fon*ami się wykadził, to i jabym przecie... ale co tu i gadać! Ten stary Jacenty mógłby chociaż mieć rozum. Albo i ta Magdusia, głupia wścibska — czego się tam ona ferta, lata z językiem, opiekuje się, mitręży? Nie — nie można tego tak zostawić. Samo sumienie nakazuje przecię...

Tak po kolei przez drogę, to wątpiąc i rozpaczając, to dodając sobie otuchy, to złoszcząc się i złorzecząc, to litując nad losem Agatki, Jerzuś najdziwniejszych uczuć doznawał. Na Zapiecku miał jeszcze wszystko za rzecz żywcem pogrzebaną; ażci na Długiej ulicy przyszło mu na myśl: że możeby zwłoką dało się co uzyskać; a około Miodowej tak mu się słodko uśmiechnęła nadzieja wygranej, że przy wejściu do domu już był pewny swego.

Tejże nocy spać nie mogąc, rozbudził w sobie do reszty niezachwiane postanowienie. — On pójdzie śmiało, no i odważnie wszystko wypowie — to jest, prawdę mówiąc, zrobi swoje żeby mieć czyste sumienie — a reszta jak tam sobie zechcą. Choć znowu szkodaby była... — No i szkoda i zmartwienie, a jeszcze może i wstyd — e, co to warto! Taka ładna panna oto, żeby się zaś zmarnować miała! — nie lepiej to uczciwie sobie wyjść za porządnego kogo?...

Następnie bardzo mu dokuczać poczęły widziane u Agatki nowe kolczyki.

— Czemu to on się lepiej nie pośpieszył! Mógłby jej nawet ładniejsze kupić — o jej! stać go na to — ale któż wie, jak się to tam brać do takich rzeczy?..

Potem przypomniał mu się ów pocałunek w szyję.

*). Wypadałoby utworzyć wielkie stowarzyszenie w rodzaju towarzystwa holenderskiego Jot nut van l'algameen, licznych angielskich towarzystw nauki początkowej i związków naukowych w Belgii, Francyi i Włoszech i t. p. Każdy członek powinienby wnieść swoję składkę roczną. Fundusze te byłyby przeznaczone na udzielanie różnego rodzaju zachęty dzieciom uczęszczającym do szkół początkowych i na ogłaszanie pism, sprzyjających rozpowszechnieniu nauki między ludem.

Gdyby takie stowarzyszenie mogło mieć członków i odpowiednią ilość zasobów, pożytek z niego byłby nieobrachowany.

— On by tak samo potrafił — żeby tylko śmiał. A jakby się obraziła? Ale tamtemu, żeby też powiedziała choćby marne słowo — otóż to kobiety! To też on o nią niedba — ale niechby i tamten jej nie dostał — tu tylko o sprawiedliwość idzie świętą i o moralność i o przyzwoitość. Trzeba się koniecznie wdać w to — nic nie pomoże.

W tych myślach nie prędzej zasnął aż nad ranem, a kiedy się obudził, spostrzegł się że to piątek (dzień feralny), więc lepiej będzie do jutra odłożyć. Do tego śniło mu się: że był egzaminowany przez pana Jacentego, jedzącego pieczeń cielęcą — co mu matka (zajrzawszy do sennika), wyłożyła w sposób następujący: „Egzaminowanym być — znaczy: że sprawę przed sądem dostaniemy; głowę łysą widzieć — wstyd i lichy koniec naszych zamiarów; pieczonego coś widzieć lub jeść — strata!“ —

Za to zaś następnej nocy przyśniło mu się: że się ożenił (z Agatką); co jak wiadomo, znaczy „dla zdrowych“ radość. Że tedy czuł się zdrowym jak ryba, a do tego sobota była — pełen otuchy dobrej, około południa znowu się wybrał pod Bociana. Jakoż zastał panią Marcinowę samę jednę — ale tu znowu odpadła go odwaga. Skorzystał więc z pozoru, że do sklepiku ciągle przychodzili kupujący, i prosił tylko, czyby niemógł przyjść w wolnej godzinie — ma bowiem do pomówienia w pewnej, bardzo ważnej sprawie. Na to pani Marcinowa uśmiechnęła się nad podziw słodziutko, i oświadczyła: że to może nastąpić jutro (tem lepiej — pomyślał Jerzuś), zanim *tamci* z sumy wrócą — bo co do niej, to ona chodzi zwykle na prymaryję.

ROZDZIAŁ XIII.

Węże opasują Laokona.

Rzeczą jest dowiedzioną: że mają chwile heroizmu ludzie nawet najtrwożliwsi — ztąd niech nie dziwi nikogo: że Jerzuś wyświeżywszy się po niedzielnemu, niemniej dzielnie pomknął w drogę swego przeznaczenia, na której, gdyby nie lecąca po kawalersku dorożka, która mu lewe oko na chwilę krótką błotem zalepiła, zdawałoby się: że nie mą mostków na którychby się potknąć można, ludzi którzyby potrącali, oraz rzeczy lecących z góry któreby upadały na czyjąkolwiek głowę. Jednak — o dziwny rzeczy ludzkich układzie! toćże i w świecie moralnym bywają mostki dziwnie do Rubikonu podobne — spotkania, w których się sam o ludzi potrącasz — i bywa także: że zdrową głowę najdobrowolniej podstawisz pod guza. Ale nie uprzedzajmy stopniowania wrażeń. — Owszem, na razie, pani Marcinowa czekała uroczyście, mając na głowie nowy czepek z zielonemi wstążkami, na rękach zaś białe rękawiczki (bawełniane), coś nawet z lekka nuciła sobie pod nosem — (bodaj czy nie piosenkę: otóż strumyk i dolina). I kiedy Jerzuś w progu się ukazał, czyliż go zaraz nie prosiła siedzieć — czyliż go nie nazwała kochanym panem Jerzym i nie spytała czemprędzej: co też on tak ważnego ma jej do powiedzenia?

— Śmiało — mówiła mu — odważnie — prosto z mostu — od razu — tak jak pan Bóg oto przykazał, — bo to tam na ceregiele czasu szkoda — nikt nie słucha — jesteśmy sami.

Tak zaskoczony trochę nazbyt obcesowo, Jerzuś odchrząknął, i tu niechcący zupełnie upuścił kapelusz, ale go zaraz potem podniósł bardzo zręcznie.

— Otóż ja tu przyszedłem — rzekł pokaszlując.

— Wiem — wiem — w bardzo ważnym interesie — rozumiem — toćże ja nie w ciemię bita.

— To jest tak niby: że oddawna bywający w tym domu —

— Prawda — jak Boga kocham — ślicznie pan mówi — beczkę soli nieprzymierzając zjadło się z sobą — i nie jednę.

— To też w tej sytu*la*cyi, myślę: że moje dobre staranie...

— O najmilszy panie Jerzy — cóż dalej?

— Więc że wiadomo pani, że mam mój własny zakład —

— Obuwia męzkiego i szewckiego — chcę



mówić damskiego — czy to ja nie wiem? na pryncypalnej ulicy — a jakże?

— I przecię uważanie u ludzi.

— O! i takich co go serdecznie kochają.

— I z resztą znajomy taki bliski —

— Ale ba! Człowiek stateczny — porządny *całą giebą*. No co tu dłużej obwijać w bawełnę.

— Za pozwoleniem —

— Pan mię zna, panie Jerzy — ja lubię oto od razu łopatą wygarnąć.

— Ale proszę pani —

— No ja przecię nic nie mówię. Powiedz że pan raz już co masz do powiedzenia.

— Więc ja tak rozumiem: że przecię możnaby mi zawierzyć kiedy zaręczam —

— Ja też wierzę — reszta to tylko plotki.

— Bo ten pan Edward....

— A cóż nam pan Edward przeszkadza?

— Ale panna Agata —

— Agatce także nic do tego — już kiedy ja po*wie*dam. Co? może pan Jacenty się nie zgodzi? może wikary? to już moja rzecz. Jak ja zechcę, to on sam tu przyjdzie ślub nam dać. Pietrzycka pęknie ze złości...

Jerzuś zerwał się jak oparzony.

— No więc, krótko mówiąc — ciągnęła dalej pani Marcinowa, biorąc go za rękę — skoro się sobie wzajemnie podobamy — to już tylko dać na zapowiedzi (ślicznie pięknie), a potem patataj do kościoła...

Jerzusiowi język niemal skołowaciał.

— Oczywiście — tego, proszę pani — wybąkał wreszcie — ale kiedy bo ja nie tego —

— Co nie tego?

— Ja nawet — bo prawdę mówiący — gdzieżby tu i myśleć. Osoba w tym wieku... —

Pani Marcinowa okrutnie poczerwieniała.

— Co asan powiedziałeś? w tym wieku! w jakim wieku? Kto? ja? patrzcie go! jeszcze też tego nie bywało. A! to mi fizyk co szkłem nos uciera! — w wieku! w moim wieku! a wasanu co do tego, mój ty tam....

W tem miejscu pomyślała chwilę, i w okamgnieniu wyprostowała się bardzo po pańsku.

— Cóż to sobie panie myślisz? Ja ci tu panie powiem, choćby na *śrrr*odku ulicy — panie — jakżeci tam? taki czy owaki! Nawet przyznam się, massa ludzi by się ze mnie grubo śmiała (znakomicie — chcę mówić), gdyby zaś uczciwej kobiecie za kopyciarza lichego wychodzić za mąż — który za bardzo wiele o sobie dufa i który jest głupi jak but wykoszlawiony! i który ledwie jest wart że go święta ziemia nosi! i którego ojciec był stróżem!

— Miał być szwajcarem — rzekł Jerzuś oburzony.

— Ale nie był do stu dyjabłów — (słowo honoru — chciałam powiedzieć)! Cóż to? myślicie że ja nie wiem — choć udaję? O mój panie — prędzej mi włosy na dłoni ot tu wyrosną, niźli tego — jak się nazywa. Widzicie go tego ciągniskóra...

Krzyczała coraz zapamiętalej:

— Dosyć że ja tak pow*ie*dam: Kto z powodu własnej osobistości jak ja szacunkuje swoje położenie, a dopiero te tam stanowisko że tak powiem — to stosunkowo (czyli bodaj stosownie) na nosie sobie nikomu brzdąkać nie da — więc kiedyś mój panie taki, to mi się niewłaściwie zaraz tu za drzwi wynoś!

Jerzuś co prawda, od dawna już sam pragnął mocno drzwi napotkać — ale jakoś gdzieś się zapodziały. Szukał tedy klamki po za sobą, a tymczasem pani Marcinowa poczęła się niby śmiać bardzo ucieszenie.

— Mnie się widzi, żeś się ty chyba panie przyszedł tu o Magdusię *oświarczyć* — rzekła drwiąco — o tę śmierć angielską co mogłaby być moją starszą siostrą — w takim razie kłaniam uniżenie — szczęśliwa droga, na złamanie karku — no dalej precz! — Żegnam cię panie — do zobaczenia, kochany panie Jerzy...

Ostatnie te wyrazy wymówiła nagle i w sposób słodki, a to z tej przyczyny: że kiedy wreszcie dziwnym trafem, Jerzuś cofając się ciągle, drzwi nareszcie sobą wyważył, w szy-

bce od strony ulicy ukazała się twarz ciekawa pani Pietrzyckiej w towarzystwie „głupiej straganiarki — bez wychowania, baby wygadanej.“

Co potem zaszło, tego się już Jerzuś nigdy nie dowiedział, równie jak sposobu niepojętego w jaki się do domu dostał. Czuł tylko: że mu coś jakby skrzydła do kolan przyczepiło — byłby zaś przysiągł: że poganiała go z tyłu pięść przybrana w białą rękawiczkę (bawełnianą), podczas gdy wyraźnie widział, jak na niego kiwała palcem utrapiona Magdusia. Tak od młota ku kowadłu śpieszyć zmuszony, w zarozumiałości swojej nie wątpił: że dzień sądny dla całego świata nastał — dzień tłumaczenia się, którego słuchać nie chciano, dzień zawstydzenia w obec licznych świadków dzień wreszcie porachunku, z którego pokazały się same straty. Dopiero spostrzegłszy niedźwiedzią łapę trzymającą but ogromny opamiętał się: że przecię posiada jeszcze rękodzielnię i skład obuwia tak samo dobrego (jeśli nie lepszego), jak to które się sprzedaje na Senatorskiej ulicy lub na Krakowskiem, (choć o wiele tańszego, z powodu mniejszej okazałości w wystawie sklepowej).

A jednak — o biedny chłopcze! — nie przeto odzyskałeś spokój, niezbędny błogiej ducha równowadze! Bo oto niebawem nadeszła śpiesznie Magdusia — a była tak zaperzona, jakby jej gaz od wody sodowej uderzył do nosa.

— Cóż to sobie pan Jerzy myśli — jak można tak postępować — czy się to godzi — czy to szlachetnie? Pani Marcinowej niczego się dopytać nie można — od płaczu rozbolała ją głowa — powiedziała tylko: że pan Jerzy poważył się nazywać ją (Magdusię) starą panną. Jest ona panną — to prawda — ale wcale nie starą (są starsze) — a znowu panną być, czyż to komu co ubliża lub zawadza? Żeby zaś osobę bezbronną każdy już tylko krzywdził — to tak być nie powinno. Dla tego bardzo słusznie się stało: że pan Jerzy (stosownie do wyrażenia Julki) został w trąbę puszczony. Ale ona wybornie się na tem wszystkiem rozumie. Nic innego, tylko pan Edward *komuś* bardzo tam zawadza. Jednak trzeba mieć bardzo niegodziwe serce, żeby tak zawzięcie źle życzyć temu biednemu panu Edwardowi. To jest człowiek dobrze wychowany — on jej nigdy jeszcze nie wypominał że jest panną — bo cóż to złego być panną?

Nareszcie rozpłakała się wyrzekając na swoje sieroctwo, a Migdalska wspomniawszy sobie że i ona jest wdową, poczęła złorzeczyć chwili swego przyjścia na świat, choć żadną miarą przypomnieć sobie nie mogła: jak dawno się to stało.

Jerzuś zrozpaczony pobiegł błagać ratunku u pana Jacentego. Tam, nie tykając już pana Edwarda, opowiedział tylko grubą pomyłkę pani Marcinowej, czego mąż znakomity wysłuchawszy z brwią namarszczoną:

— Nie właściwie się to stało — rzekł wreszcie — ale możeś i ty panie nie był bez winy. Rozpatrzymy tę sprawę — rozpatrzymy. Jutro sam osobiście na miejsce się udam.

— Ale jutro, poniedziałek...

Tamten z politowaniem się uśmiechnął.

— Byłżebyś panie przesądnym?

Jerzuś uczuł się przygnieciony stanowiskiem tego człowieka.

— No, bądź spokojny panie, bądź spokojny — zdaj się na mnie. Już ja tę rzecz stanowczo załatwię. A teraz, przepraszam cię panie — mam massę zajęcia z ptakami...

Wracając ztamtąd, Jerzuś dumał nad tem: czy należy sobie do tego stopnia lekceważyć dnie feralne? Wierzył on mocno w rozum stanu pana Jacentego — niemniej zapomnieć nie mógł: że mu się on przyśnił jedzącym pieczeń cielęcą, z czego jak wiemy wypadła sprawa bardzo kusa, wstyd i lichy koniec zamiarów, i wreszcie strata. Jeśli się tedy sen od woli człeka nie zależny w ten sposób ziścić może, to cóż dopiero szukanie guza wbrew wyraźnemu ostrzeżeniu?

— Wszystko źle pójdzie — mówił sobie pełen zwątpienia — a już jak źle przy poniedziałku, to i na cały tydzień tak samo.

Przekonamy się poniżej: że go istotnie nie zawiodło przeczucie; tymczasem zaś, zdawało się być napisano w księdze przeznaczeń: że gorycze dnia tego aż do końca nie mają doznać osłodzenia. Albowiem znów ku wieczorowi zjawiła się Magdusia. Wprawdzie z góry oświadczyła: że wpadła tylko na chwilkę, gdyż *panną* będąc, nie będzie *nikomu* zabierała czasu; mimo to jednak siedziała cały wieczór, w płaszczyku, w kapeluszu, z zarękawkiem w ręku, ciągle niby na wylocie, ale jak się zdaje ani myśląc o odejściu. Opowiedziała niby mimochodem: że (jakbądź *panna*) właśnie tylko co obecną była uroczystym zaręczynom pana Edwarda z Agatką. W ogólności *panny* nie miewają między sobą żadnych tajemnic, stąd też i ona (która jest *panną*) od dawna wiedziała o tem: że Agatka *nad życie* kocha *swego* Edwarda, a tak wybornie się złożyło, że się on z nią żeni, inaczej bowiem *wszyscy ciągle* by ją nazywali panną, co wcale nie jest przyjemnie, choć bynajmniej nie ubliżająco. Niemniej też *do twarzy* im było, że zaraz po zaręczynach poszli oboje do teatru — sami jedni — Magdusia bowiem (jako *panna*) towarzyszyć im nie mogła. Pani Marcinowa zaś, skutkiem swego zmartwienia, musiała się wcześnie do łóżka położyć, mówiąc tylko z wielkim jękiem: — Kochana *panno* Magdaleno — proszę też *panny* żeby *panna* z apteki *panieńskiej* skórki mi przyniosła. — Jednem słowem, tak tem panieństwem swojem wszystkim dojechała, że Migdalska, po jej odejściu, w najlepszej wierze zaklęła Jerzusia: żeby się już raz z nią ożenił; to może temu wszystkiemu będzie wreszcie koniec.

Na uwieńczenie jeszcze owego dnia znojnego, a tak bezmiernie brzemiennego w wypadki przykre, w nocy przyśnił się Jerzusiowi pan Edward, a to w taki sposób: że się niby spotkali w ogrodzie (zapewne Saskim) przy woskowych świecach. Co gdy się stało, Jerzuś w uniesieniu powiedział mu: Pan jesteś bałwan! — a tamten nie wiele myśląc, nazwał go cymbałem — poczem się rozeszli, zobopólnie zgorszeni.

d. c. n.

Pokarmy i Napoje.

Znaczenie pokarmów. — Głód i pragnienie. Mleko Jego przetwory. — Masło i sery. — Jaja. — Mięso. — Błędy w kuchni. — Czem jest rosół? — Pokarmy roślinne. — Chleb i ziemniaki. — Jarzyny i grzyby. — Owoce. — Przyprawy sztuki kulinarnej. — Kawa, herbata i czekolada. — Woda. — Piwo. — Wino. — Wódka. — Od jakich warunków zależy ilość przyjmowanego pożywienia? — Ile człowiek potrzebuje dziennie pokarmów? — Główne warunki zdrowia.

Do utrzymania życia potrzebujemy pokarmów.

Na prostej ich przemianie polega cały proces trawienia, który jest tym łatwiejszym, im pokarmy zawierają więcej pierwiastków będących składnikami naszego ciała. Stąd mięso należy do materyj najposilniejszych, strawienie jego zachodzi w daleko krótszym czasie, organizm poprzestać może na mniejszej jego ilości, i mniej wydziela części ciału niepotrzebnych, niż to ma miejsce przy pożywieniu czysto roślinnem. — Mięso jest najposilniejszem, gdyż najwięcej zawiera w sobie pierwiastków azotowych.

Guma, cukier, krochmal i spirytus, nie posiadają azotu, a tem samem nie mogą nam służyć do wytworu jakiejkolwiek części ciała, zawierającej azot, naprzykład do wytworzenia białka lub włókna mięsnego. Spożywając wyłącznie powyższe tylko ciała, nie moglibyśmy niemi wyżyć, natomiast służą one do utrzymania procesu oddychania. W rzeczy samej mączka czyli krochmal, guma, cukier lub spirytus dostarczają ciału tylko węgla, który będąc wprowadzony w obieg krwi, łączy się z istniejącym tamże tlenem, tworzy kwas węglany jaki z płuc wyziewamy. — W skutek tego, wytwarza się ciągłe ciepło w naszym organizmie, i dlatego ciała wyżej przytoczone, nazywamy *oddechowemi* czyli *ogrzewawczemi.*

Przeciwnie, gdy chodzi o wytworzenie części organizmu, zawierających azot, potrzeba nam ciał w tenże pierwiastek zasobnych to, jest pokamów które moglibyśmy nazwać twórczemi naszej tkanki cielesnej. Takiemi są: białko, włóknik i kazein. Te więc tylko pokarmy które zawierają powyższe materyje, mogą w nie krew zaopatrywać, a przez to samo wytwarzać nasze ciało, lub zapełniać ubytki przez nie ponoszone.

Człowiek wyłącznie żywiony mączką lub białkiem, nie mógłby długo utrzymywać się przy zdrowiu, w takich bowiem pokarmach nie ma soli wapiennych, z których się głównie składają kości, ani też soli kuchennej. Owóż sole są równie potrzebne do życia jak pokarmy twórcze tkanki i pokarmy oddechowe. — Znajdujemy te sole w wodzie źródlanej, w mięsie i w niektórych roślinach, w ilości wszakże niedostatecznej, i dla tego używamy ich do przypraw w kuchni. Sole pobudzają wydzielanie się śliny i soku zarodkowego, a w tej własności nie ustępują im korzenie. — Głównym celem przyrządzania potraw, jest ułatwienie żołądkowi pracy trawienia.

Do przyjmowania pokarmów zniewala nas uczucie głodu lub pragnienia. Pomijamy tu

żarłoków, smakoszów i opilców, znajdujących w tej sprawie życiowej pewną przyjemność, której zadość czynić starają się jak najczęściej.

Pragnienie przejawia się suchością w gardle, w podniebieniu, lub przy osadzie języka— łakniemy wówczas wody—przyczyną tego prawdopodobnie jest błona śluzowa w gardle, która przestaje być wilgotną, w skutek czego kończyny nerwów tamże rogałęzionych, ulegają nadzwyczajnemu draźnieniu. Zaspakajamy pragnienie pijąc wodę zwilżającą gardło, i wogóle przez każdy proces dostarczający krwi wody.

Głód jest bolesnem uczuciem w okolicy żołądka, pobudzającem nas do przyjęcia pożywienia,—powstaje z próżni wytwarzającej się w tym organie, gdyż zapełnienie żołądka materyjami nawet niestrawnemi usuwa na pewien czas uczucie głodu. Zaspakajamy głód spożyciem pokarmów, lub sztucznie—jako to paleniem tytuniu, zażyciem opijum, snem, i t. p.

Po tych uwagach przejdziemy do samych pokarmów.

Znanem ci jest niewątpliwie czytelniku mleko, a jednak prawdopodobnie nigdy niezdawałeś sobie sprawy z jego składników i z działania ich na ekonomiją zwierzęcą. Mleko jest płynem błękitnawem w którem pływają tak zwane *ciałka mleczne*, otoczone zewnętrzną błonką z białka złożoną, wewnątrz na nich tłuszcz się mieści. Ciałka owe nadają mleku barwę białą i nieprzezroczystość. Samo mleko jest w stanie nas wyżywić, gdyż zawiera w sobie materyją azotową i w ogóle pierwiastki które wchodzą do naszej krwi i ciała.

W 100 częściach mleka znajdujemy 89 cz. wody, $^1/_{10}$ cz. soli, przeszło 4 cz. cukru mlecznego, 4 cz. ciał białkowych $2^1/_2$ cz. tłuszczu. Obok tego mleko zawiera w sobie kwas węglany, tlen, azot i pierwiastki wyciągowe.

Składniki mleka łatwo ulegają zmianom, stąd płyn ten przekształca się w niedługiem czasie. Pozostawione w spokoju mleko, wytwarza na swej powierzchni warstwę żółtawą złożoną z ciałek mlecznych, lżejszą od cieczy, a stąd wypływającą na wierzch czyli tak zwaną *śmietanę*. Jeżeli będziemy mleko mocno kłucić, błonki ciałek mlecznych ulegając rozdarciu wyswobodzą zawarte w nich cząstki tłuszczu, łączące się z sobą w większe bryłki, w skutek czego otrzymamy *masło*. Pozostały rozczyn zwany *maślanką*, składa się z kazeinu cukru, i rozmaitych soli.

Z kłucenia samej śmietany pozyskujemy najlepsze masło.

Mleko w czasie burzy w atmosferze, lub trzymane w miejscu ciepłem, kwaśnieje i krzepnie. Cukier mleczny naówczas pod wpływem tlenu powietrza, przetwarza się w kwas mleczny, w skutek czego kazein rozpuszczony w mleku słodkiem, krzepnie coraz więcej, skawala się i tworzy *mleko zsiadłe*. Kazein skrzepły zwany pospolicie *twarogiem*, zawiera w sobie w przeważnej ilości ciałka mleczne, oprócz innych składników właściwych mleku.

Po oddzieleniu twarogu pozostały wodnisty płyn, nazywamy *serwatką*. — Może ona być słodką lub kwaśną. Pierwszą otrzymujemy sztucznie, dodając do mleka kawałek żołądka cielęcego, po zwarzeniu się tegoż w skutek gotowania, przecedza się płyn przez sitko.— Płyn taki jest mętnym, dla tego gotować go należy raz jeszcze i dorzucić rozbite białko od jajka, a w tym razie twaróg coraz z białkiem na spód opadnie, serwatka zaś pozostanie przezroczystą.

Dobroć mleka poznaje się z jego barwy która powinna być białą nie zaś siwą. Kropla mleka wpuszczona do szklanki napełnionej wodą, powinnna opadać na spód, a na paznokciu utrzymywać się w postaci okrągławej.— Jeżeli taka kropla rozpływa się na paznokciu, dowodzi to że mleko ochrzczone wodą.

Mleko jest wielce pożywne, lecz nie łatwo strawne, gdyż w żołądku krzepnie i skawala się w skutek czego kwas żołądkowy z trudnością w te bryły wsiąka i długiego czasu potrzebuje do ich rozpuszczenia.—Spożywanie mleka z bułką lub chlebem, czyni je strawniejszem, gdyż w tym razie krzepnie ono w mniejsze bryły.

W mleku niewieściem stosunek jego części stałych, składowych, dochodzi 13%, w mleku krowiem 14%, i więcej w nim białka i tłuszczu, mniej cukru niż w mleku ludzkiem. Stąd też mleko krowie dawane niemowlętom, rozrzedzać potrzeba wodą ocukrowaną. Po pewnym jednak czasie, w mleku niewieściem zmniejsza się ilość cukru a zwiększa ilość białka; pod względem składu mleko kozie zbliża się do ludzkiego.— Chcąc mleko zabezpieczyć od kwaśnienia, przechowywać je należy w miejscu zimnem, lub przegotować. Dodatek dwuwęglanu sody, opóźnia zwarzenie się mleka. Naczynia w których przechowywujemy mleko, powinny być zawsze w czystości utrzymywane—ołowiane i miedziane są najgorsze, gdyż kwas mleczny z łatwością rozpuszcza ołów i miedź, w skutek czego powstają trujące sole. Najlepszemi są naczynia szklanne lub drewniane. Co do żelaznych te również mogą zatruwać mleko jeżeli glazura ich ołów zawiera.

Masło jest tłuszczem odpowiadającym żółtkowi jaj, ser materyją pożywną, zbliżoną do białka, z obu organizm nasz użytkuje.

W skład masła wchodzą: tłuszcz mleczny i twaróg nadający mu pożywność. Im więcej twarogu, tem prędzej psuje się masło i gorzknieje.— Zapobiega temu solenie lub przetapianie masła, przyczem usunąć należy szumowiny. Dodatek $1^1/_4$ cz: grama dwie gram sody, do funta masła zgorzkniałego, czyni je przyjemniejszem w smaku. Naczynia służące do przechowywania masła powinny być dobrze wybielone. Piękną farbę żółtą nadają masłu domięszając do niego szafranu lub wody pochodzącej z marchwi. Dolanie do takiego masła wody czystej, barwi ją nieznacznie na żółto i wykrywa fałszowanie. Dla powiększenia wagi masła dodają do niego gliny, gipsu, kredy, mąki i t. p.— które jednak przy przetapianiu masła, opadają na spód, ujawniając oszustwo.

Ser jest pożywnym ale z trudnością trawi go żołądek. — Oprócz twarogu, ser zawiera pewną ilość masła, cukru mlecznego, i inne części składowe mleka. Ser otrzymany z mleka zsiadłego pozbawionego śmietany jest suchy—mleko zaś zsiadłe ze śmietaną pomięszane daje ser tłusty, daleko pożywniejszy. — Do takich zaliczamy szwajcarski, holenderski, limburgski—do serów zaś chudych, kozi, szkodzki i inne. Ser stary więcej posila niż świeży, gdyż tworzą się w nim pewne kwasy tłuszczowe, natomiast wszelkie sery tłuste i twarde, są trudniejsze do strawienia.

Jaja jako zawierające oprócz soli ciała białkowe i tłuszcz należą po mleku do pokarmów najpożywniejszych. Z jaja wylęga się kurczę, a więc wszelkie pierwiastki składające organizm zwierzęcy, w jajku się mieszczą. Jaje składa się ze skorupy wapiennej z białka i żółtka.

W skorupie mieszczą się sole wapienne — w białku jego rozczyn, sól, tłuszcz i cukier— w żółtku tłuszcz zawierający nieco cukru, fosforu i żelaza.

W 100 częściach jaja, znajdujemy $13^1/_2$% białka—$11^1/_2$% tłuszczu—$1^1/_0$ soli i wodę.

Równie jak kazein mleka, białko w żołądku krzepnie—stąd jaja gotowane na *twardo* są trudniej strawne od gotowanych na *miękko*. Najstrawniejszemi przecież są jaja surowe, a zarazem najpożywniejszemi. Jaja twarde potrzebują $3—3^1/_2$ godzin do rozpuszczenia się w żołądku—miękkie $2—2^1/_2$ godzin — surowe $1—1^1/_2$ godziny.

Powietrze przeciskając się przez otworki skorupy wapiennej jajka, wpływa na jego zepsucie, chcąc tego uniknąć, potrzeba jaja oblać gipsem, posmarować tłuszczem, utrzymywać w owsie lub w mleku wapiennem.

Łatwo odróżnić jaje świeże od zepsutego,— pierwsze przeglądane pod światło wydaje się pełnem, a białko jasnem— potrząsane w ręku nie wydaje żadnego szelestu, nie chlebocze jak jaje zepsute. Jaje stare pływa po wodzie, co nienastępuje ze świeżem, które zresztą w bliskości ognia potnieje, czego nie obserwujemy w starem jaju.

Najpożywniejszym pokarmem jest mięso w którym odróżniamy włókno, sok mięsny i tłuszcz. Najmniej z nich strawne włókno, łatwiej rozpuszcza się w żołądku przez gotowanie, nasolenie, pieczenie i t. p. operacyje sztuki kulinarnej. Sok mięsny nadaje mięsu smak i stanowi część jego najposilniejszą— tłuszcz równie dla swej pożywności jest dla nas pożądanym pokarmem.

Najlepszem bywa mięso pieczone, gdyż w procesie tym, białko krzepnąc tworzy skorupę, w skutek czego sok mięsny nie może wydostawać się na zewnątrz, ani woda do środka mięsa się przeciskać. Wszystkie więc części pożywne pozostają w mięsie.

Co innego całkiem zachodzi z mięsem gotowanem, a zwłaszcza też w sposób powszechnie w naszych kuchniach praktykowany, w którym mięso kładzie się w garnek z zimną wodą i do ognia przystawia. W wodzie naówczas rozpuszcza się sok mięsny, wszelkie pierwiastki pożywne, przechodzące do tak zwanego rosołu.

Czyż tak wygotowane mięso może być pożywnem? —Dla czego nasze gospodynie nie mają kłaść mięsa do wody już gotującej się, zamiast do zimnej.? Niech zechcą zwrócić na to uwagę, że wówczas tworzy się zewnętrzna osłona ze skrzepniętego białka, zatrzymująca w mięsie części najwięcej pożądane dla naszego organizmu.

Na to odpowiedzą nam niezawodnie kuchmistrzynie, *że chodzi im tu o rosół*, który poczytują za wielce pożywną materyję. — Owóż w tem właśnie złudzenie. Rosół zawiera w sobie tylko nieco kleju, trochę soli i pierwiastków wyciągowych, a najpożywniejsze białko, zbierające się na wierzchu płynu w czasie gogotowania, odrzucają nasze kucharki i nasi kucharze, jako niepotrzebne szumowiny. Jakże biedną a nawet szkodliwą jest nasza kuchnia! Rosół z powodu obecności w nim soli, staje się dla nas tylko środkiem drażniącym, ale bynajmniej nie reprezentuje się pokarmu pożywnego. Rosół ów tyle przechwalany, może się stać trucizną nawet, przy zbytnim jego używaniu. Dajmy królikowi naraz spożyć rosołu wygotowanego choćby tylko z dwu funtów mięsa, a zwierzątko zasłabnie, i może zakończyć życie. Mięso solone nie jest tyle pożywne co pieczone—duszone w occie jest łatwiejszem do strawienia. Mięso surowe zwłaszcza wieprzowe może być szkodliwem dla zdrowia, z powodu obecności w nim strychnin i innych pasorżytów.

Stopień pożywności mięsa zależy od ilości stosunku jego składników. Najwięcej białka zawiera mięso ptaków, najmniej mięso ryb.

Mięso zwierząt ssących jest wielce pożywnem.—Flaki zawierają mało mięsa a wiele tłuszczu i krwi która jest najposilniejszym pokarmem jak tego dowodzi czernina.

Mięso pochodzące ze zwierząt chorych przejęte pasorżytami, lub psujące się w skutek długiego przechowywania, jest dla człowieka najszkodliwszem.

W pokarmach roślinnych znajdujemy niemniej wiele pierwiastków pożywnych, nie wjednakowym przecież stopniu. Pszenica przedstawia się najpożywniejszą, gdyż zawiera 13½% białka, żyto 10% — kukurydza 8%—ryż 5%. Ten ostatni natomiast mieści w sobie najwięcej krochmalu.

Ziarna zbożowe przy mieleniu tracą wraz z otrębami bardzo wiele białka, stąd też wszelkie kasze nie są zasobne w tę materyją azotową. Kaszka drobna jest nie czem innem, tylko czystym krochmalem. Mąka gruba, szara, zawiera więcej nierównie białka od białej, a tem samym jest od niej pożywniejszą. Dobra mąka jest biało-żółtawą — zła, niebieskawożółtą;—pierwsza w palcach gnieciona nie wytwarza najmniejszej bryłki—smak łatwiej jest słodkawy nie zaś kwaskowaty—zarobiona wreszcie wodą, daje ciasto łatwo rozciągalne, nie przerywające się przy tej manipulacyi.

Chleb niepowinien mieć żadnych gruzłów mąki, ani zakalca, powierzchnie mieć wypukłą, brunatną, nie spaloną, skórkę smaku gorzkawego.— Pieczywo tem jest pożywniejsze im więcej zawiera w sobie mleka, jaj, tłuszczu i cukru.

Wszelkie grochy mają znaczny zasób białka, tej materyi azotowej, wpływającej tak dzielnie na żywienie się naszego ciała. Przeciwnie ziemniaki są bardzo w białko ubogie. W tych ziemnych owocach posiadamy krochmalu 10% do 15%. Dwadzieścia funtów kartofli wyrównywa dopiero w pożywności dwom funtom chleba.

Wszelkie jarzyny są raczej przyprawami kuchennemi, niż potrawami, ato dla tego, że zawierają w sobie bardzo mały stosunek białka. Do najpożywniejszych jarzyn należą: marchew, brukiew, buraki i rzepa, obfitujące w cukier.

Daleko pożywniejszemi od jarzyn są grzyby, z powodu obecności w nich białka. W skład ich wchodzą również mączka, cukier, klej i galareta.

Grzyby jedne są jadalne drugie jadowite. Do pierwszych zaliczamy trufle, borowika, siniaka, rydza, maślaka, gołąbka, do drugich muchara, stroczka, rosityg, podrydzka psiego, smardze zwane babiemi uszami, gorzkówkę, wełniankę, kurki jadowite i t. p. Najpowszechniej w miejscach ciemnych cuchnących rozrastają się grzyby trujące, z wyjątkiem pieczarek, których trzon, nawet jest smaczny i zdrowy.

Owoców z powodu bardzo małych ilości białka i mączki w nich się mieszczących, nie powinniśmy za pokarm poczytywać—cukier i klej te główne ich części składowe, nęcą nasze podniebienie.— Pestek owocowych nienależałoby połykać, gdyż nietylko utrudzają trawienie, ale nadto dostając się do wnętrza wyrosta robaczkowego, łączącego się z kątnicą, wywołują tamże niebezpieczne zapalenie.

Owoce jedynie z krajów południowych pochodzące, jakoto figi, migdały, daktyle, orzechy, są wielce zasobne w tłuszcz i białko a zatem pożywniejsze. — Z migdałami gorzkiemi zalecamy ostrożność—zawierają one w sobie pierwiastek trujący, zwany amygdalinem, który w nadmiernej ilości spożyty, wywołać może niebezpieczną chorobę.

Przyprawy i korzenie kuchenne mają na celu ułatwiać trawienie pokarmów, i czynić je przyjemniejszemi w smaku. Drażniąc nasze nerwy w jamie ustnej i żołądku, powiększają tu wydzielanie się śliny, tam znowu soku żołądkowego. Niektóre znich drażniąc serce przyśpieszają obieg krwi.

Pierwszą i najpotrzebniejszą przyprawą jest *sól kuchenna*, stanowiąca zarazem składniki krwi i wszystkich części ciała człowieka.— Sól taułatwia trawienie, gdyż drażniąc błonę śluzową żołądka, przyśpiesza wydzielanie się soku żołądkowego, który jest koniecznym do strawienia ciał białkowych.

Drugą przyprawę posiadamy w tłuszczach, które w połączeniu z mączką, przetwarzają się w cukier.—Nie należy jednak w zbyt wielkiej ilości tłuszczów używać, gdyż otaczając pokarmy, utrudzają przez to dostawanie się do nich soku żołądkowego.

Cukier i wszelkie syropy, nadają potrawom przyjemny smak, wytwarzają w ciele naszem ciepło, i przedstawiają pewną wartość pożywną.

Kwas octowy, cytrynowy i inne, czynią potrawy smaczniejszemi i chronią je od zepsucia —wpływają też dzielnie na rozpuszczenie się ciał białkowatych. — Z octem nieostrożnie obchodzą się dziewczęta pijąc go chcąc się pozbyć żywych na twarzy rumieńców, lub uniknąć tuszy. Jest to tym naganniejsza próżność, że skutki jej okazują się wielce dla zdrowia szkodliwemi. — Nadmierne użycie octu wytwatrza brak krwi, błednice i inne choroby.

Korzenie w kuchni używane jak pieprz, cynamon, gałka muszkatołowa, i cukier, goździki, wanilija, czosnek, chrzan, szczypiorek, kapary i t. p., nie mogą służyć za pokarm, lecz tylko za podniętę wzbudzającą smak i ułatwiającą trawienie. — Korzenie spożywane w wielkiej ilości, drażnią nerwy i przyśpieszają obieg krwi, a nawet mogą stać się trucizną.

Przechodzimy do napojów.

Poczestne między niemi miejsce zajmuje kawa z powodu że nas ogrzewa, orzeźwia a zarazem podnieca. Pomimo tych przymiotów, nie należy jej do zbytku używac lub w bardzo silnym odwarze, gdyż drażniąc zawiele nerwy, wywołać może trzęsienie rąk i bicie serca.

W kawie znajdujemy tłuszcz, kwas kawowy i kofeinę—też same prawie pierwiastki zawarte są w herbacie. Ta działa silniej od kawy lecz wpływ jej trwa krócej. Roślina ta zawiera w sobie olejek aromatyczny lotny, teinę, i kwas garbnikowy. Herbata zielona więcej drażni nasze nerwy od czarnej, gdyż wyciąg z niej jest wonniejszym. Skład chemiczny teiny równie jak kofeiny jest jednakowy, to jest 16 cz. węgla 10 cz. wodoru, 4 cz. tlenu i 4 cz. azotu.

Czekoladę wyrabiają z ziarn kakaowych, dodają do niej zwykle cynamonu, wanilii cukru, saga, salepu, mąki grochowej i. t. p. zatem stosownie do rozmaitych tych połączeń, czekolada przedstawia rozmaite gatunki. Jest ona zawsze środkiem drażniącym i rozpalającym.

Najzdrowszym i najpowszechniejszym napojem człowieka jest woda. Wodę studzienną i źródlaną nazywamy *twardą*, i taka zawiera w sobie dość znaczną ilość soli wapiennych, woda rzeczna i deszczowa nie mieści w sobie tych soli i przyjmuje nazwę *miękkiej*.— Dobra woda powinna być jasna; przezroczysta, posiadać smak orzeźwiający i nie mieć żadnego nieprzyjemnego zapachu.

Piwo również gasi nasze pragnienie, im więcej zawiera wyskoku (spirytusu) tym jest mocniejszem. Takiem jest bawarskie— pobudza ono układ nerwowy, drażni cokolwiek przyrząd trawienia, i przyśpiesza obieg krwi. Piwo wyrabia się z jęczmienia i pszenicy. Dobre piwo powinno być czyste, klarowne, niepozostawiać w szklance żadnego osadu, i musować przy nalewaniu.—Dobrze odwarzone i wystałe piwo jest napojem bardzo zdrowym— w skład jego wchodzą; klej, cukier i inne rozczyny zbożowe. Chmiel wnim zawarty wzmacnia, a kwas węglany orzeźwia człowieka. Młode piwo zawsze szkodzi.— Niekiedy bywa piwo fałszowane goryczką, piołunem, rumiankiem i szyszkami świerkowemi. Ciała te mają w nim chmiel zastępować, ale spełnią to za danie bardzo licho.— Dobroć piwa zależy od wielu warunków, soku jęczmienia, wody, wpływu powietrza, beczek, piwnicy i t. p. Piwo nie zastępuje pokarmów, gdyż niewiele zawiera w sobie białka i mączki, soli i gumy. W 100 częściach piwa znajduje się zwykle 2—8 części wyskoku winnego. Piwo bawarskie ma go 3% lub 4%, wyskok nie tyle szkodzi w piwie co w wódce, gdyż jest rozprowadzonym w nierównie większej ilości płynu.

Wino wyrabia się z ziarn winogronnych— i wiele zawiera w sobie wyskoku. Madera i Portwejn ma 16—22% wyskoku—Bordeax i Burgundzkie 12—17% reńskie 8—12%, w winach węgierskich najwięcej jest soli wapiennych.

W wódkach ilość wytłoku winnego dochodzi 20—50% —likiery różnią się od wódek tylko większym zasobem cukru, i dodatkami korzennemi. Opilstwo pociąga za sobą najsmutniejsze skutki. Władze umysłowe tępieją, członki słabną, żołądek doznaje rozmaitych cierpień, utraca siłę, wzrok, powstają też miejscowe znieczulenia, porażenia i kurcze, i inne zawroty głowy. Opilcy najczęściej kończą życie z rozmiękczenia mózgu, lub doznają pomięszania zmysłów.

Ilość spożywanych przez człowieka pokarmów zależy od klimatu, pracy jakiej się oddaje i usposobienia indywidualnego. W zimnem wilgotnem powietrzu więcej potrzebujemy pożywienia, niż przy sutej i ciepłej atmosferze. Przyczyna tego prosta. Ciało się oziębia w zimnem powietrzu, a ubytek ciepła przez nie poniesiony, musi być wynagrodzonym przez pokarmy. Mieszkańcy krain zwrotnikowych nierównie mniej spożywają pokarmów od ludności żyjącej w klimatach umiarkowanych lub zimnych,— przeciwnie ludzie stref biegunowych piją wiele tranu i spożywają wiele mięsiwa.

W skutek pracy zużywamy nasze mięśnie, i w pożywieniu znachodzimy materyjał zastępujący straty jakie ponosi nasze ciało. Robotnik ciężko pracujący potrzebuje mięsa, chleba, sera i grochu —te mu przywrócą z pewnością siły, wódka zaś je tylko sztucznie podnieca a w końcu niszczy zupełnie. Obniżmy taksę mięsa a niewątpliwie robotnik porzuci wódkę i zyska na tem fizycznie i moralnie.

Człowiek dorosły, biorąc przeciętnie, potrzebuje spożyć dziennie 2— 3 funtów pokarmów stałych, a mianowicie; funt mięsa i dopełniającą ilość materyj roślinnych. — W średnim stosunku człowiek zużywa dziennie przeszło 7 funtów pokarmów i napojów, a mianowicie 6 funtów wody w stanie naturalnym w pokarmach i napojach $1/4$ funta ciał białkowych, $1/6$ funta tłuszczu, $4/5$ funta pokarmów mącznych $1/20$ funta soli.

Zachowanie umiarkowania w użyciu pokarmów i napojów, rozmaitość pożywienia, regularny tryb życia, odpowiedni ruch lub praca, utrzymanie w czystości ciała, oto są główne warunki wpływające najdzielniej na zdrowie.

Wincenty Niewiadomski.

JAK NALEŻY ROZWIJAĆ UMYSŁ DZIECKA?

napisał

Aleksander Głowacki.

Matkom poświęca
autor.

A. Badanie Własności.

Zamiast długich wywodów—przytoczę czytelnikom, rozumie się ze stosownemi zmianami i o ile pomiętam, treść lekcyj, jakie niekiedy miewałem z dziećmi.

Muszę tu dodać w nawiasie, że rodzice zazwyczaj patrzyli na wykłady te jako na próżną stratę czasu,—a dalej, że wychowańcy moi byli to zwykle chłopcy liczący od 8—13 lat, *posiadali* więc już pewien zapas wyobrażeń, pojęć i odpowiadających im wyrazów.

a) O Zmysłach.

Nauczyciel. Zamknij (np. Jasiu) dobrze oczy, uważaj i mów co ja będę brał pokolei do rąk.

Uczeń. To jest flaszka z naftą, to ocet, to królewskie kadzidło, to tabaka i t. d.

N. Jakim sposbem poznałeś te rzeczy?

U. Za pomocą zmysłu *powonienia.*

N. Zapisz to. Teraz znowu zamknij oczy i mów: co ci podaję?

U. Cukier, ocet atrament, kredę i t. d.

N. Jakim sposobem poznałeś?

U. Za pomocą zmysłu *smaku.*

N. Zapisz. Jeszcze raz zamknij oczy i mów co ja robię?

U. Dzwonisz, strzelasz palcami, piszesz i t. d.

N. Jakim sposobem to poznałeś?

U. Za pomocą zmysłu *słuchu.*

N. Zamknij oczy po raz ostatni i mów co ja ci podaje teraz?

U. Klucz, papieros, pudełko, dzwonek i t. d.

N. Jakim sposobem poznałeś?

U. Za pomocą *dotykania.*

N, Otwórz oczy i powiedz co się dzieje na podwórzu?

U. Stróż zamiata; woźnica przywiózł chleb do sklepiku i t. d.

N. Zamknij oczy i powiedz kto teraz idzie przez ulicę?

U. Nie wiem.

N. Otwórz oczy i powiedz co się dzieje teraz na niebie?

U. Są chmury.

N. Jakie?

U. Białe, ciemne i żółte...

N. Jakim sposobem poznajesz to wszystko?

U. *Wzrokiem.*

N. Przeczytaj ile zapisałeś zmysłów?

U. Pięć: powonienie, smak, słuch, dotykanie, wzrok.

N. Do czego więc służą zmysły?

U. Do poznawania rzeczy.

N. Czy możesz wiedzieć co się dzieje w tej chwili w trzecim pokoju?

U. Nie, bo to co się tam dzieje, nie oddziaływa na żaden mój zmysł. (Inny odpowie dział: pewnie nakrywają do obiadu.)

N. W jakim razie wiedziałbyś co się tam działo?

U. Gdybym tam był, albo gdyby mi ktoś powiedział.

Tu następuje cały szereg pytań takich: co poznajesz za pomocą wzroku, słuchu i t. d.

N. Który ze zmysłów jest najdoskonalszy?

U. Wzrok, bo on donosi mi o rzeczach tak np, dalekich jak gwiazdy, tak dużych jak dom, tak małych jak pył, tak delikatnych jak dym. Wrokiem też posługujemy się najczęściej.

N. Czy oprócz tych zmysłów, mamy jeszcze inne?

U. (Zazwyczaj odpowiada, że nie mamy).

N. Powiedz mi, dla czego wstawałeś dziś od lekcyi?

U. Bo mi się pić zachciało.

N. Skąd wiedziałeś o tem, czy za pomocą którego z pięciu wyliczonych zmysłów?

U. (Jeden odpowiedział, że za pomocą smaku, inny zaś, że zapomocą żadnego z wymienionych zmysłów).

N. A zatem ten zmysł, który ci powiedział że chcesz pić, jest jakimś nowym zmysłem?... Otóż czy leży zewnątrz, czy wewnątrz ciała?

U. Wewnątrz.

N. Powiedz mi, dla czego płakałeś wczoraj, kiedy ci w dzienniku zapisałem złe sprawowanie?

U. Bałem się ojca.

N. Czy wiadomości o strachu podał ci jaki zmysł zewnętrzny?

U. Przeciwnie, wewnętrzny.

Przytaczam odpowiedź znacznie zmienioną, pewien bowiem ośmioletni chłopak, na pytanie: czem się boisz? odpowiedział mi wskazując na plecy i ściskając łopatki. Kilka pytań i odpowiedzi tegoż ucznia cytuję dosłownie:

N. Pomyśl sobie co teraz.

U. Już pomyślałem.

N. Co mianowicie?

U. Że mi się już robić nie chce.

N. Czem że to, pomyślałeś?

U. (Wskazuje na... okolicę twarzy w której stykają się obie szczęki!)

N. A powiedz teraz czy lubisz mnie?

U. Ajakże.

N. Czem mnie lubisz?

U. Sercem.

Dla psychologa trzy te odpowiedzi: boję się plecami, myślę szczękami i lubię sercem, — są nader charakterystyczne. Pierwsze dwie wypłynęły z bezpośredniej obserwacyi dziecka, trzecia była już formułką której go świat nauczył.

Z umysłu przytaczam te dyjalogi: raz aby wskazać techniczną stronę metody, drugi raz aby przypomnieć, ile to częstokroć wdzięku posiadają proste i naiwne odpowiedzi dziecka, które nie potrzebuje drżeć przed nauczycielem i wyuczać się *stąd-dotąd.*

Wskazawszy w jaki sposób przypomina sobie dziecko liczbę, nazwiska i użytek zmysłów zewnętrznych, a także w jaki sposób zwraca uwagę na zmysły wewnętrzne, tudzież fizyjologiczne i psychiczne stany swojej istoty przechodzę do:

b) Własności Ciał,

1) Wzrok.

Na stoliku leżą: węgiel, kreda, smoła, biały papier, mleko i atrament.

N. Spojrzyj na rzeczy które tu leżą, a następnie ustaw przy sobie te, które na pierwszy rzut oka wydadzą ci się podobnemi.

Uczeń ustawia je we dwa szeregi:

I	II
kreda,	smoła,
papier,	węgiel,
mleko	atrament.

N. Z czego przedmioty pierwszego szeregu są do siebie podobne?

U. Z tego że są *białe*, tak jak znowu rzeczy z drugiego szeregu są *czarne.*

Z początku wziąłem małą liczbę przedmiotów aby uczeń mógł łatwiej wejść na właściwy tor myśli,—obecnie bez ceremonii już podsuwam mu większą ilość, ustawiam je bez ładu i następnie każę porządkować. Oto rezultat ostateczny:

I	II	III	IV
wiśnia,	liść,	cytryna,	woda,
kawałek	zielone	żółty	szkło,
buraka,	sukno,	opłatek,	spirytus.
czerwony	zielony		
atrament,	papier.		
lak.			

N. Powiedz, z czego podobne są do siebie przedmioty w tych szeregach leżące?

U. Z koloru. Szereg pierwszy jest *czerwony*, drugi *zielony*, trzeci *żółty*, czwaty *bezkolorowy*.

N. Zapisz więc sobie, że *wzrokiem* poznajemy *kolor* lub *brak koloru*, a następnie wylicz przedmioty mające kolor czerwony, żółty, niebieski, i t. d.

U. Czerwone: krew, czasem jabłka, farby; żółte: kanarek, piasek; niebieskie: niebo, farbka, oczy... Bezkolorowe: czysta nafta, brylant. i t. d.

Z kolei nauczyciel przedstawia uczniowi tabliczki pomalowone, które uczeń porządkuje w sposób następny:

I	II
amarantowa,	granatowa,
pąsowa,	szafirowa,
różowa,	niebieska.

N. Czego nas uczą te szeregi?

U. Tego, że pewne kolory są podobniejsze do jednych niż do drugich; np. że kolor amarantowy jest podobniejszy do różowego niż do niebieskiego. Z tego także pokazuje się, że wzrokiem poznajemy: *rodzaje, gatunki i odcienia kolorów.*

Następnie podsuwam uczniowi inną grupę przedmiotów, którą porządkuje w sposób następujący:

I	II		III		IV
cegła,	drzewo,	wygładzone	szkło,	polerowane	lustro,
piaskowiec,	kamień,		marmur,		wypolerowana
żelazo złamane.	żelazo.		żelazo.		blaszka srebrna

N. Dla czego przedmioty te uporządkowałeś w taki sposób?

U. Dla tego, że w każdej grupie są podobne: w pierwszej *chropowate*, w drugiej *gładkie*, w trzeciej *połyskliwe*, w czwartej odbijane zupełnie światło, t. j. takie, w których *przejrzeć się można*. Z tego pokazuje się, że za pomocą wzroku możemy ocenić *Powierzchowność ciał.*

Inne grupy:

I	II	III
kostka,	jabłko,	jaje
pudełko,	piłka,	śliwka.
6-cio ścienne.	wiśnia.	

Przedmioty pierwszej grupy są *równoległościanami*, drugiej *kulami*, trzeciej *owalami*. Przy pomocy ich poznaliśmy nową dostępną dla wzroku własności ciał t. j. *formę.*

Jeszcze inne grupy:

I	II
szklanka, walcowe pudełko od zapałek.	pudełko 6-cio ścienne małe, takież duże.

Z tego uporządkowania dziecko przypomina sobie nową własność t. j. *wielkość.* Szklanka lubo podobna z kształtu, jest większa od pudełka walcowego, ponieważ ono w niej może się pomieścić.

Inne grupy:

I	II	III
kamień,	woda,	dym z cygara,
żelazo,	nafta,	para wychodząca z samowaru,
drzewo.	spirytus	kwas węglany wydobywający się z wód gazowych lub piwa.

Widzimy że przedmioty z grupy pierwszej są *stałe* t. j. mają oznaczoną formę; z drugiej są *płynne* t. j. nie mają formy własnej i muszą być utrzymywane w naczyniu z dołu i boków zamkniętem; z trzeciej są *gazowe*, nie mają także własnej formy i dają się utrzymywać w naczyniach zamkniętych ze wszystkich stron (np. w pęcherzach, mocno zakorkowanych butelkach).

Teraz uwagę ucznia zwracam na zupełnie inne kategoryje pojęć i tak:

I	II	III	IV
o o ziarnka grochu,	o o o jabłka	o o śliwki	o o o ziarna śrutu.

N. Które z tych szeregów i dla czego są podobne?

U. Pierwszy podobny do trzeciego, a drugi do czwartego: w tamtych bowiem jest po dwa, w tych zaś po trzy przedmioty. Za pomocą więc wzroku możemy poznać *ilość* przedmiotów.

Inna kategoryja:

Kładę jabłko i śliwkę na krześle, groch i pudełko na stole, kałamarz i kajet na podłodze.

N. Co możesz powiedzieć o tych grupach?

U. Że każda znich leży w innem miejscu; przy pomocy więc wzroku poznać możemy *położenie* przedmiotów.

— Streśćmy lekcyją: Na jakie ja pytanie odpowiadam mówiąc: jabłko jest *czerwone*, groch jest *okrągły*, pudełko jest *małe*, ocet jest *płynem*?..

— Na pytanie: *jaki* jest przemiot?

— A na jakie pytanie odpowiadam mówiąc: 10 jabłek, 3 pudełka, 5 śliwek?

— Na pytanie: *ile* jest przedmiotów?

— Na jakie zaś pytanie odpowiadam, gdy mówię: groch leży *na stole*, pudełko *pod krzesłem*?

— Na pytanie *gdzie* jest przedmiot?

— Tym więc sposobem za pomocą wzroku pod iloma względami można uważać przedmioty?

— Pod trzema: 1) pod względem *jakości*, 2) pod względem *ilości* 3) pod względem *położenia*.

d. c. n.

ZARYSY

Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

(Ciąg dalszy).

Wspomnieliśmy już że z Kiernowa Ryngold przeniósł stolicę do Nowogródka, stąd zaś Gedymin przed r. 1320 przeniósł do Trok. Nazwanie Trok pochodzi od wyrazu litewskiego *Trakas*, znaczącego las wytrzebiony, trzebież. Są do dziś dnia *Stare Trobi*, są i *Nowe Trobi*. Jedne i drugie należą do najdawniejszych osad litewskich. Stare Trobi już w jedynastem stuleciu były miastem głównem dzielnicy książąt litewskich z linii Dorszpronga, lecz zwały się wtedy *Ghurgoni*. Kronika wspomina że już wtedy oprócz wspaniałego grodu książęcego były tu świątynie i gmachy liczne. Wspominany już przez nas Snorro-Sturlesohn Islandczyk opisuje Trobi w XII wieku. Do tych to Starych Trok Gedymin przeniósł stolicę swoję z Nowogródka. Niedługo tu wszakże zamieszkał, gdyż w r. 1322 widzimy już Wilno stolicą, Stare zaś Trobi zostawały zawsze rezydencyją książęcą, zapewne myśliwską, aż do r. 1380, kiedy Kejstut, książe trocki i żmudzki wzniósł wspaniałe zamki w pobliżu tego miejsca, w Nowych Trokach i tam rezydencyją swoję przeniósł. Witold w r. 1405 fundował w Starych Trokach Benedyktynów sprowadzonych z Tyńca pod Krakowem. Odtąd ustają dzieje starych Trok, i my przejdźmy do *Nowych Trok*.

Położenie tego miejsca jest tak piękne, że gdyby je przenieść gdzieś na południe, lub zachód Europy, mnóstwo wędrowników odwiedzałoby je ciągle. Głębokie i rozległe jeziora, *galwą* zwane (t. j. główne od głowa, bo jest w pobliżu i kilka innych jezior) oblewa dokoła prawie całą osadę, gdyż wązki tylko przesmyk lądu stanowi wjazd do miasta. Jezioro to ma 12 wysp, z tych na największej z głębi wód wychodzą wspaniałe zwaliska starożytnego zamku, zajmując całą powierzchnią wyspy, że mury ich płukane są nieustannie od fali wód, nawet lekkim wietrzykiem kołysanych. Od Wschodu ocalały jeszcze dwie rozległe, jakby odrębne gmachy stanowiące, okrągłe baszty, które wznoszą się nad mury, czyli wały, w kształcie wielkiego prostokąta tworzące obwód zamkowy. Od północy zaś wznosi się właściwy zamek, który był mieszkaniem władców Litwy. Ocalały dwa piętra czworogrannej postaci, od południa zaś nadzwyczaj wysoka wieża wylatuje wysoko nad te piętra. Wewnątrz ocalały jeszcze sklepienia, rozkład izb i komnat mieszkalnych, kaplica, a nawet przed niewielu laty po ścianach i framugach okien widoczne były bardzo wyraźne ślady malowideł. Zamek ten w najczystszym stylu gotyckim zbudował książe Kejstut w drugiej połowie XIV stulecia. Na innych wyspach były porozrzucane *stajnie*, *kuchnie*, *łaźnie*, *ogrody* i t. p. Tak i do dziś dnia wyspy te nazywają się. Na jednej z wysepek Witold dla trzeciej swej małżonki Julijanny księżniczki holszeńskiej wymurował cerkiewkę wschodniego obrządkn pod tytułem ś. Jerzego. Póżniej Sapiehowie, wtedy wyznawcy kościoła wschodniego, objęli kollacyją tej cerkwi i groby swojej rodziny tu założyli. Tu tedy mieszkał Kejstut dzielny, tu, d. 27 października 1430 umarł Witold sławny, tu zamordowany został okrutny książe Zygmunt, brat Witolda 20 marca 1440 przez ks. Czartoryskich, Dowgirda i Lelusza. Zamek ten był najulubieńszem miejscem pobytu króla Kazimierza Jagiellończyka. Jak była wspaniałą i majestatyczną ta rezydencyja kró-

lewsko-wielkoksiążęca, wiemy o tem z opisania Kontaryniego posła weneckiego, którego tu król wspaniale podejmował w r. 1477. Inny podróżnik de Lannog opisuje również szczegółowo przepych, bogactwo i wspaniałość tego zamku, kiedy go odwiedził i był na uczcie u króla Kazimierza, podczas której 80 muzykantów grało na klarnetach. Za Aleksandra, czas jakiś mieszkał tu han kopczackiej hordy Szach Achmet, który utraciwszy swe państwo, szukał opieki w Litwie. Z czasów Zygmunta I, mamy także świadectwo o świetności zamku, zostawione przez głośnego Herberstejna, posła od cesarza Maxymilijana, którego tu król Zygmunt przyjmował w r. 1517. Piękny, wspaniały był zamek i za czasów Zygmunta Augusta — ze śmiercią zaś jego, jak wszystkie miasta litewskie, tak i Troki podupadać zaczęły, a w końcu za Jana Kazimierza zamek w czasie wojny zburzony został i odtąd nigdy już mieszkalnym nie był. Na brzegu w samem mieście był inny zamek, mniejszy od poprzedniego, przez Gedymina zbudowany. I tu jeszcze widać zwaliska baszt i zamku. Ten ostatni zamek łączył się z zamkiem głównym na wyspie za pomocą mostu, którego szczęty w palach jeszcze widocznych pozostały.

Od r. 1413 Troki były głównem miastem województwa trockiego, które dzieliło się na cztery powiaty: trocki, grodzieński, kowieński i upitski. Pod względem położenia, była to najpiękniejsza kraina ze wszystkich dzielnic dawnej Litwy i Rusi. Sięgając na północ aż do Kurlandyi, na wschód województwa wileńskiego, na zachód Prus i Żmudzi, od której ją rzeka Niewierza oddzielała, na południe województwa podlaskiego—województwo trockie obfitowało w rzeki biegące śród tak czarownych okolic jak Niemen, Wilija, Wana, Mereczanka i wiele innych, mnóstwo jezior rozległych, w puszcze i gaje dębowe, urocze doliny i rozległe łany, a wszystko to poprzerzynane wzgórzami, kurhanami, grodziskami, dowodzącemi najstarożytniejszych osad w tej ziemi. Najpiękniejsze Litwinki właśnie w tej okolicy. W parafijach Jeżnieńskiej i Sztokliszkiej i dziś nie znaleść choćby na lekarstwo ani jednej brzydkiej, lub tylko niezgrabnej W starości nawet przechowują wdzięk pewny i szlachetność oblicza.

Dziś Trocki powiat słynie z wód mineralnych w Stokliszkach i Birsztanach, do których zjeżdżają się chorzy nawet z dalekich stron.

Nad brzegami Niemna, który dziś Troczyznę, od Królestwa Polskiego oddziela, do dziś dnia przechowały się ślady prastarych zamków i zameczków jeszcze z czasów przed Gedyminowych, jak w Puniach, Olicie, Mereczu, Niemonajciach i innych. Z tych najsłynniejsze w dziejach litewskich są Punie. Był tu za czasów pogańskich wielki warowny zamek, a dowódzcą załogi był *Margier.* Sam W. mistrz krzyżacki Teodoryk z Altenbergu z wielką siłą wojsk niemieckich, oraz z bardzo licznym orszakiem hrabiów i baronów, obległ zamek Puński. Było to w r. 1336. Na odgłos groźnej wyprawy Niemców, kilka albo i kilkanaście tysięcy mieszkańców okolicznych z żonami, z dziećmi i dobytkiem szukali jak zwykle, schronienia w zamku od srogiej napaści. Litwini dzielnie się bronili—ale niemcy opatrzeni w rozmaite machiny wojenne i bombardy zdołali zburzyć większą część wałów, a gdy reszta zachwiana z gruntu, co chwila runąć miała, rowy zaś 50 stóp szerokie a na 26 głębokie zapełnione zostały trupami, gdy już do walki z niemcami zdolnych, a silnych zabrakło, bo wszyscy polegli, gdy nakoniec krzyżak Werner Randorf, dowódzca łuczników, wybrał 30 z nich najodważniejszych i rozdał im 600 strzał ognistych, a ci zbliżywszy się najbardziej do wału, gęstemi wystrzałami zapalili w kilku miejscach ściany zamku; wtedy Margier niewidząc już sposobu ratunku, kazał rozniecić ogromny stos drzewa pośród zamku, pierwszy rzucił nań swe skarby i całe mienie, ażeby niemi zasilić płomienie, poczem starce, niewiasty, dzieci, rycerze, ranni, zbliżać się zaczęli ku stosowi, stara wieszczka litewska, z rozpuszczonemi długiemi siwemi włosami, z pieśnią pogrobową, ścinać głowy swych braci zaczęła, inni rzucali kadłuby na stos, inni jeden drugiemu śmierć zadawali, a gdy wieszczka stara zabijać już niemiała kogo i sama na stosie płonąć zaczęła, wtedy Margier skoczył do lochu podziemnego, gdzie skarby jego najdroższe ukryte były, bo żona ukochana wraz z dziećmi—wyprowadza ich ztamtąd na ucztę krwawą, własnoręcznie cios najmilszym istotom zadaje i na stos wspólny składa, a gdy już słyszy wrzaskliwe krzyki rozradowanych niemców, którzy przez wyłom spieszyli do zamku, w nadziei bogatych łupów i mnogiego jeńca, Margier w oczach wrogów na stos skacze i na nim śród płomieni ostatni cios samemu sobie zadaje.... Niemcy zamiast łupów same popioły i szczęty ludzi i wszelkiego mienia — zastali, a ani jednego żywego człowieka.

Olgierd srodze im odemścił później męczeńską śmierć swych braci.

Czyn ten bohaterski, ten dziki lecz wielki odwagą i miłością ojczyzny Margier — zrodziły nie jeden utwór poetycki, prawdziwość zaś faktu poświadczają kronikarze nie tylko Długosz, Kojołowicz i Stryjkowski, ale i sami niemcy.

Podobnym i niejednokrotnym napadom niemców, podlegał ciągle zamek *Merecki* również nad Niemnem. Znajdując się właśnie na drodze, którą Zakon wybrał do czynienia wypraw w głąb Litwy, Merecz był zawsze na te najazdy krzyżackie wystawiony. Niejednokrotnie też i pobici byli tu srodze krzyżacy przez litwinów, a szczególnie przez dzielnego Witolda. Dziś ślad zamku tylko w dużym okopie, wieńczącym szczyt wysokiej góry pozostał. Góra ta w wyższej części sypana, wznosi się przy samem ujściu Mereczanki do Niemna, z drugiej zaś strony płynie strumień Stangwis po litewsku zwany, którego wody służyć musiały do zalewania przekopów zamkowych. Przed rokiem 1840 znaleziono tu kilka kul kamiennych do 80 funtów wagi, oraz części machiny do rzucania tych kul na oblegających służącej. W Mereczu, w młodości jeszcze, często bywał myśliwstwu się oddając Władysław IV, a później, będąc już królem kilkakrotnie na łowy tu zjeżdżał. Kochał on to miejsce, może dla tego los tak zrządził, że tu go. d. 20 maja 1648, śmierć zaskoczyła. Dom w którym umarł Władysław IV istnieje i dotąd.

W innej części ziemicy wileńskiej, o 4 mile od Wilna przy gościńcu do Mińska prowadzącym, istnieją Miedniki, także bardzo dawna osada litewska z zamkiem wspaniałym, warownym. Była to ulubiona rezydencyja letnia Olgierda, a szczególnie żony jego Julijanny. Tu sławny Długosz dziejopisarz kilka lat mieszkał z uczniami swoimi, synami króla Kazimierza Jagiellończyka. Tu Święty Kazimierz królewicz często przebywał, a gdy umarł w Wilnie 4 marca 1384 r., zwłoki jego czas jakiś w kaplicy zamku Miednickiego spoczywały, aż do przeniesienia ich, do umyślnie wzniesionej na ten cel kaplicy przy kościele katedralnym w Wilnie. Ruiny zamku do dziś dnia istniejącego, stanowią plac czworokątny otoczony trzyłokciowym prawie murem z kamienia i cegły, długi 187 metrów, szeroki 97½ metrów. Wysokość muru opustoszałego dochodzi jeszcze 12 metrów. Głęboki przekop, czyli fosa otaczała zamek dokoła i była wodą napełniona. W północno-wschodniej stronie była wysoka kwadratowa o trzech piętrach wieża, z których na każdem, po dwie duże o wielkich oknach gotyckich komnaty znajdowały się. Sam jeszcze widziałem resztki starożytnych schodów dębowych, dziś już ich i śladu nie ma. Po za obrębem tej ściany murowanej, na przestronym placu, musiały być liczne zabudowania drewniane. *d. c. n.*

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

Ciąg dalszy.)

Co do mężczyzn dosyć było zamaskowanych i w kostyjumach, ale przeważnie dominowały mundury, które nadawały też balowi zupełnie wojskową cechę. Rzecz która uderzała szczególnie—to wielka liczba oficerów meksykańskich, pomieszanych z tłumem. Byli to zwyciężeni uwolnieni na słowo, których błyszczące mundury kroju francuskiego, stanowiły dziwne przeciwieństwo, ze skromnem niebieskiem ubraniem zwycięzców. Obecność tych panów chociaż w nader świetnych mundurach, nie była wprawdzie najlepszą dla nich rekomendacyją, ale chwilka zastanowienia przekonywała, że nie koniecznie byli tutaj z własnej swojej woli.

Jedna tylko myśl zajmowała mnie wyłącznie, chciałem odnaleść Isolinę de Vargas, chociaż rzecz to dosyć była trudna w takim tłumie zamaskowanych. Prawdopodobnie jeżeli jest tutaj, to ma także maskę.

Podtrzymywała mnie nadzieja że sama zaczepi mnie może, bo byłem bez maski.

Dobre pół godziny upłynęło i gdy niczego się niedoczekałem, zacząłem tracić nadzieję.

Jeżeli jest tutaj, powtarzałem sobie, mogła by mnie już była zobaczyć.

Sciskało mi się serce na tę przykrą uwagę.

Rzuciłem się na krzeźle starając się przybrać najobojętniejszą minę i zacząłem się ciekawie przypatrywać kobietom zamaskowanym.

Nakoniec spojrzałem na jakąś nieznajomą a serce zaczęło mi bić tak gwałtownie, że o mało nie wyskoczyło z piersi. Byłem przekonany że tą damą była Isolina de Vargas.

Tańczyła walca z młodym oficerem od dragonów, w chwili więc kiedy się obok mnie przesuwali powstałem i zbliżyłem się do koła żeby ich nie stracić z oczu....

Kiedy znowu zbliżyli się do mnie, zdawało mi się, że dama spojrzała na mnie z pod maski, zdawało mi się że drgnęła, i zdawało mi się, że na pewno jest to Isolina.

Opanowała mnie zazdrość. Młody oficer był to znany mi elegant, z rodzaju tych szczęśliwców, którzy pomimo albo dla tego właśnie że mają mało rozumu, są zawsze dobrze widzianymi u kobiet.

Zdawało mi się że moja maseczka silnie przyciskała się do niego, a przebiegając salę pochyliła główkę ku ramieniu tego błazna, słowem zdawało mi się że jest uszczęśliwioną ze swego tancerza.

Z wielkę trudnością zdołałem się powstrzymać, ochłonełem wtedy dopiero gdy muzyka grać przestała, walc się skończył.

Śledziłem dragona i jego tancerkę, odprowadził ją na miejsce, usiadł przy niej i zaczęli bardzo jakąś ożywioną rozmowę.

Zazdrosny jak tygrys, podsunąłem się o ile można było najbliżej aby ich podsłuchać. Ponieważ mówili po cichu, nie mogłem dosłyszeć wszystkiego, dowiedziałem się jednak nakoniec, że ów trzpiot prosił tancerkę o zdjęcie maski. Naturalnie głos który mu odpowiadał, był głosem Isoliny.

Tak byłem z irytowany że o mało nie zdecydowałem się zerwać maskę, która zakrywała mi tę twarzyczkę ubóstwianą.

Na szczęście oszczędzono mi w porę tę chętkę nieprzyzwoitą, prożba zmiękczyła domino i właśnie w tej oto chwili podniosła ona dobrowolnie maskę.

Była to... murzynka, nie z tych co czarne są jak heban, ale zawsze bardzo czarna, z szerokiemi wargami, wystającemi policzkami i małą kędzierzawą grzywką, spadającą na świecące wypukłe czoło.

Zdziwienie moje nie było mniejsze od zdziwienia młodego dragona, który mówiąc nawiasem, pochodził ze stanów południowych, to znaczy nie bardzo był łaskawie usposobionym dla murzynów. Na widok swojej tancerki podskoczył jak oparzony i po kilku słowach, wybrzdąkanych niezrozumiale wstał z miną wielce zakłopotaną, i drapnął aby ukryć się w tłumie.

Kolorowa piękność włożyła pospiesznie maskę i oddaliła się również nie mówiąc ani słowa, chociaż przygnębiona widocznie sceną jaka ją poniżyła.

Śledziłem ją z ciekawością i współczuciem, przeszła samotna salony zapewne w celu opuszczenia balu.

I odjechała widocznie... bo nie spostrzegłem już więcej jej żółtego domina.

ROZDZIAŁ XII.

Domino Niebieskie.

Po takim grubym zawodzie straciłem zupełnie nadzieję ujrzenia tej, dla której jedynie znajdowałem się na balu. W złym humorze zacząłem coraz częściej zaglądać do bufetu, gdzie wino lało się obficie.

Po kilku szklanicach raźniej mi się jakoś zrobiło, stałem się rozmowniejszym i postanowiłem zabawić się tak jak i wszyscy. Nie tańczyłem dotąd, ale wino tak dobrze jak na głowę oddziałało na nogi, zapragnąłem pohasać z pierwszą lepszą tancerką.

Nie długo przyszło mi czekać, bo spotkałem domino niebieskie na drodze. Dama nie była zamówioną i oświadczyła że „tańcząc ze mną będzie bardzo szczęśliwa.“

Dodajmy nawiasem że było to powiedziane po francuzku, co nie zdziwiło mnie wcale, bo wiedziałem że bardzo wiele francuzek znajduje się we wszystkich większych miastach Meksyku. Są to zwykle jubilerki, dentystki, modniarki dorabiające się ogromnie, na lubujących się w zbytku meksykanach.

Od chwili w której Francuzi weszli do tego kraju, można było być pewnym że ich spotka się dosyć na balu. W istocie było ich bardzo wielu kręcących się tu i owdzie, z tą żywością niedbałą która jest szczególną cechą narodowego charakteru. Nie byłem więc zdziwiony przemówieniem do mnie domina po francuzku.

Modniareczka francuzka — pomyślałem sobie. Tak czy owak mało mnie to obchodzi. Chciałem potańczyć trochę i po kilku frazesach wypowiedzianych po francuzku, puściliśmy się w wir walcowy.

Po przetańczeniu jednego koła, owładnęły mnie zupełnie inne uczucia, najprzód miałem do czynienia z kobietą która umiała walcować, co się nie zawsze napotyka, powtóre trzymałem w objęciu najzgrabniejszą osóbkę w świecie.

Jeżeli myślałem sobie, twarzyczka odpowiada figurze, nie potrzeba było wędrować aż tak daleko dla zrobienia karyjery.

W takiej parze musiałem dobrze się trzymać, to też nie walcowałem nigdy jeszcze tak dobrze.

W krótce zwróciliśmy na siebie uwagę ogólną i zostaliśmy bohaterami zabawy. Ponieważ nie wiele dbam o podobne tryumfy, odprowadziłem moję tancerkę na miejsce i grzecznie podziękowałem.

Miejsce miała ona we framudze okna, gdzie dwie osoby mogły najswobodniej rozmawiać. Nie miałem ochoty rozstać się tak prędko z taką dzielną tanecznicą, chociaż modniarką tylko.

Na ławeczce było miejsce na dwoje, poprosiłem maski żeby mi pozwoliła usiąść przy sobie.

— Bardzo proszę, odpowiedziała otwarcie.

— I pozwoli mi pani pozostać tak długo dopóki nie odezwie się znowu muzyka.

— Jeżeli pan sobie życzy...

— Czy zechce pani przetańczyć ze mną jeszcze?..

— Z przyjemnością, ale czy nie ma tu kogo co ma prawo liczyć na pana.?...

— Nikogo zaręczam to pani. Pani jesteś jedyną z którą się bawić pragnę.

Widziałem że po tych słowach, moja tancerka zrobiła ruch, oznaczający pewne wzruszenie.

Mój komplement podobał się modniareczce, pomyślałem sobie.

— Pochlebia mi to bardzo, że pan przekładasz moje towarzystwo, nad towarzystwo tylu piękności, chociaż cieszyło by mnie to bardziej, gdybyć pan wiedział kto jestem....

Te ostatnie słowa były powiedziane poważnie i z westchnieniem.

— Biedna mała pomyślałem, myśli że ją biorę za jaką wielką damę, przypuszcza że nie tańczyłbym w przeciwnym wypadku.

— Bardzo się mylisz aniołku, ja nie lubię rzekłem, żadnych wyróżniań na sali balowej.

Po tej uwadze dodałem.

— Żałuję bardzo że nie mam szczęścia wiedzieć kto pani jesteś, prawdopodobnie nie będę nigdy tego wiedział, chyba że pani zdejmie maseczkę...

— A panie! to jest niepodobieństwem.... bo jakbyś pan zobaczył twarz moję uciekłbyś odemnie odrazu, a przyznam się otwarcie, żebym bardzo żałowała tak zręcznego tancerza.

Odmowa i komplement. — Nie pani, jestem tego pewnym że Cię twarzyczka twoja nie pozbawi nigdy tancerza. No pozwól pani prosić cię o zdjęcie tej szkaradnej maski, mówmy otwarcie, patrząc się sobie w oczy, toć ja nie jestem zamaskowany.

— Prawda, ale pan nie masz powodu ukrywania swoich rysów, a tego może nie można powiedzieć o innych wszystkich co się tu znajdują.

— Tysiączne dzięki grzeczna maseczko, za nadto mi pochlebiasz.

— Nie umiem pochlebiać, ale oto twarz pańska się rozjaśniła...a jak panu z tym dobrze...

Mały dyjabełek wyrwałem się prawie głośno. Ale kto pan jesteś mówiła dalej, zmieniwszy nagle ton głosu. Nie jesteś Meksykaninem?... czy jesteś pan wojskowym, czy obywatelem?...

— Za kogobyś też pani mnie wzięła?..

— Za poetę, sądząc po bladej twarzy a szczególniej po sposobie wzdychania...

— Nie wzdychałem od czasu jak siedzimy razem.

— Tak ale zanim usiedliśmy tutaj....

— Jakto w walcu?..

— Nie, przed walcem..

— Zauważyłaś mnie pani przedtem?...

— Pańskie skromne ubranie łatwo go już wyróżnia z pomiędzy tylu mundurów, a cóż dopiero pańskie zachowanie się...

— Moje zachowanie się, zapytałem z pewną obawą, niepewny czy nie popełniłem jakiej niezręczności w czasie poszukiwania Isoliny.

— Pańskie roztargnienie właściwie. Ale a propos czy nie czułeś pan żadnej sympatyi dla żółtego domina?

— Żółte domino zapytałem trąc czoło jak gdybym nie mógł nic sobie przypomnieć. Domino żółte, pani mówi.

— Tak, tak, żółte domino odpowiedziała z przyciskiem szyderczym. Żółte domino które

tańczyło z młodym oficerem i do tego ładnym chłopakiem, mówiąc jeszcze nawiasem.

— A —przypominam sobie że...

— Zapewne że dobrze pan wiesz oczem mówię, odparła nielitościwa maseczka, a toć goś pan nieustannie obserwował.

— Ah — to, tak, no...

— Myślałam że pan na cześć jej komponowałeś jakie wiersze, a że nie widziałeś twarzy więc śpiewałeś na cześć nóżek...

— E co też pani mówi.

— Ale nie była nie ubłaganą, bo zdjęła maskę.

— Tam do licha pani więc byłaś obecną przy rozwiązaniu tej sceny?..

Tu niebieskie moje domino zaczęło się śmiać z całego serca.

— Naturalnie żem była obecną, nieprawdaż że to było bardzo śmieszne...

— Bardzo śmieszne odpowiedziałem, a chociaż nie podobały mi się te żarty, siliłem się jednak podzielać wesołość mojej towarzyszki.

— Jaką ten młody człowiek miał wtedy głupią minę, nieprawdaż...

— Ma pani słuszność..

— A jaką pan miałeś minę!...

— Ha...

— Jak pan ogromnie byłeś zdziwiony...

— Zdawało się chyba pani.

— O! ale jak..

— Było to raczej współczucie dla młodej dziewczyny.

— Doprawdy?.. żałowałeś jej pan?...

Pytanie to było rzucone tak poważnie, że dziwnie wyglądało w tej chwili.

— Tak, biedne stworzenie. było bardzo zmartwione.

— Zmartwione?.. tak pan sądzi..

— Naturalnie, zaraz opuściła miejsce i nie pokazała się więcej, zapewne powróciła do domu. Z tem wszystkiem, pomyłka była bardzo wytłomaczoną. Nie widziałem nigdy równie dobrej tancerki, wyjąwszy tej którą teraz mam szczęście mieć widzę przy sobie, ale...

— Co?..

— Ta murzynka...

— Obawiam się żebyście wy, panowie Amerykanie, nie byli zanadto galantami, względem dam kolorowych. Inna to rzecz tutaj w Meksyku, który uważacie za kraj despotyczny...

— Uczułem wymówkę.

— Ale mówmy o czem innem; nie jesteś pan poetą?..

— Tytuł to na który bynajmniej nie zasługuję, chociaż prawdę mówiąc, robiłem był kiedyś wiersze..

— Byłam tego pewną, mam więc jak pan widzisz instynkt wcale dobry. Oh! gdybym mogła pana namówić, żebyś coś na cześć moję napisał.

— Jakto nie wiedząc kto pani jesteś, nie widząc jej twarzy?.. O pani! powinienem, poznać chociaż twoje rysy, abym cię mógł opiewać.

— Wierz mi pan że nie wiesz czego żądasz gdybym zdjęła maskę, tem mniej miałabym nadzieję otrzymania wierszy. Natchnienie pierzchłoby w tej chwili...

Na Venus mówiłem sobie, to nie jest kobieta co ma do czynienia z igłą, chociaż się zręcznie jak igła wywija...

Gubiłem się w przypuszczeniach, nie... to jakaś dowcipna kobieta, jakaś wielka dama, zdecydowałem nareszcie.

Doszedłszy do tego przekonania, ciekawość moja wzmogła się bardziej jeszcze, chciałem zobaczyć twarz mojej nieznajomej. Rozmowa jej podbiła mnie zupełnie, ta co tak dobrze mówiła, nie musiała być brzydka. Takiego dowcipu nie mogła ukrywać twarz zwyczajna. Te kształty zresztą zgrabne, ta maleńka rączka opięta w elegancką rękawiezkę, te drobne nóżki, to zręczne trzymanie się w tańcu, a nadewszystko błyski prześlicznych oczu, które spostrzegałem z pod maski, wszystko mi wskazywało że to coś niezwykłego.

— Pani odezwałem się poważnie, błagam cię, zdejm swoję maskę, gdyby nie to że znajdujemy się na balu, prosiłbym o tę łaskę na kolanach.

— A gdybym ją wyświadczyła, jaknajprędzej podniósłbyś się pan żeby mnie zimno pożegnać. Przypomnij pan sobie żółte domino.

— Pani masz przyjemność pastwić się nademną.

— Czy sądzisz mnie pan zdolną do takiej lekkomyślności?..

— Przypuśćmy na chwilę, że pani nie jesteś tem co świat nazywa pięknością, z tem wszystkiem zdejmując maskę, nie zdołałabyś pani pozbawić uroku twojej rozmowy i wdzięków głosu, który dochodzi do głębi serca. Jakże mógłby ktoś być brzydkim z podobnemi przymiotami. Gdyby nawet twarz pani była tak czarną, jak damy w dominie żółtym nie spostrzegł bym tego nawet.

— Uważaj pan na to co powiedziałeś.

— Znam bardzo dobrze mężczyzn i wiem za bardzo dobrze niestety, że brzydota jest dla was największym występkiem w kobiecie.

— Nie pani, nie jestem takim i... przysięgam ci na to.

— Nie przysięgaj pan. Powiadam panu że jak na złość wszystkim pięknym przymiotom, jakiemi mnie pan obdarzyłeś, jestem rodzajem widma, którem przerazić byś się musiał koniecznie.

— Niepodobna... O zdejm pani maskę, przyjmuję wszystkie następstwa łaski o którą upraszam.

— Ha niechże się więc stanie jak pan sobie życzysz. Dobrowolnie robisz sobie przykrość, chociaż zasługuje na nią pańska ciekawość.

— Pozwala pani, o dziekuję ci dziękuje...

— Ręce mi drżały gdym rozwiązywał sznurki od jedwabnej maseczki.

Na raz maska wypadła mi z rąk jak gdyby była z rozpalonego żelaza, a okrzyk zdumienia albo przerażenia właściwiej, wyrwał mi się na widok twarzy którą ujrzałem. Była to ta sama murzynka z grubemi wargami, z wystającemi policzkami, i z temi małemi kręconemi loczkami co jej spadały na skronie.

Nie wiedziałem co mówić, co robić, galanteryja opuściła mnie, siadłem na swojem miejscu, i a nim był w stanie przemówić.

Moja towarzyszka zdawała się być przygotowaną na to, wybuchła głośnym śmiechem i odezwała się tonem szyderczym:

— A teraz panie poeto, czy będziesz przy natchnieniu, kiedyż mogę się spodziewać moich wierszy. Ale o to zaczynam się obawiać, czy pan nie będziesz takim samym galantem dla nas dam kolorowych, jak twój ziomek oficer od dragonów.

I śmiała się szyderczo.

Byłem zanadto zawstydzony moim postępkiem, i za głęboko dotknięty wymówką, żeby być w stanie odpowiedzieć coś z sensem. Na szczęście murzynka śmiała się ciągle, i głośno, a to mi pozwoliło powiedzieć kilka wyrazów bez związku, i zabrać się do odwrotu. Z penością przez całe życie, nie pożegnałem nikogo tak niezgrabnie. Szedłem albo raczej biegłem do wyjścia z postanowieniem opuszczenia balu i powrotu do domu galopem.

Kiedy stanąłem na progu, ciekawość przemogła konfuzyję rzuciłem, jeszcze spojrzenie na tę dziwną etjopkę. Domino niebieskie siedziało jeszcze we framudze, ale gdym się przypatrzył dobrze figurze i twarzy. Boże cóż zobaczyłem... rysy Isoliny.

Stąnąłem jak wryty, a oczów w lepionych w tę twarz prześliczną, nie mogłem od niej oderwać. Ona także patrzyła na mnie ale niestety, z jakim dziwnym wyrazem. Było to spojrzenie którego nie zapomnę nigdy. Nie śmiała się już ale na usteczkach zaciśniętych pozostał uśmiech pełen sarkazmu a może pogardy.

Namyślałem się czyby powrócić i przeprosić, ale już było zapóźno. Byłoby to tylko wystawić się na większą jeszcze śmieszność.

Zgryzota jaką czytała na mojej twarzy rozbroiła ją trochę. Widziałem że zmieniła wyraz, oczy stały się czulszemi a może...

W tej chwili jakiś mężczyzna zbliżył się i usiadł przy niej bez ceremonii. Gdy się ku mnie odwrócił poznałem Iżurrę.

Zaczęli coś rozmawiać, gdybym spostrzegł że się śmieje ze mnie byłbym się zaraz pozbył ciężaru co mi przygniatał serce.

Ale Iżurra się nie śmiał, Isolina widocznie nic mu nie mówiła o mojej przygodzie. Roztropność nakazała jej sekret, odgadła co by mogło nastąpić.

Teraz wstali ona włożyła znów maskę. Iżurra poprowadził ją do tańca i zniknęli pomiędzy maskami.

Chłopcze wina..

Wypiłem wino, zabawiłem jeszcze sekund parę, to jest tyle ilem potrzebował na zapięcie pałasza, potem co tchu do głównego wyjścia i do konia.

Pędziłem ze ściśniętem sercem, z głową rozpaloną, ale świeże nocne powietrze i ruch konia ułagodziły mnie po trochu. Wkrótce stałem się spokojniejszym.

Przybywszy do zagrody, zastałem moich adjutantów przy kolacyi. Kuchnia nie była wyśmienita, ale przy apetycie zajadało się ze smakiem, a przyjacielska rozmowa powróciła mi na czas jakiś zwykły humor.

ROZDZIAŁ XIII.

Myśli o miłości.

Nie znam okropniejszych cierpień, nad zazdrość, obrażoną dumą i uczucie zawiedzone w swoich najdroższych nadziejach. Doświadczyłem nieraz goryczy i wstydu, przechodzi-

łem klęski co rujnują spokojność i zdrowie— patrzyłem śmierci w oczy, ale nic nie zraniło mnie boleśniej jak ta miłość bez wzajemności. Inne uczucia przechodzą, tymczasem zazdrość zapuszcza jad jakiś w ranę, której długo niepodobna zagoić.

Dla zagłuszenia konfuzyi piłem dużo na balu, a po powrocie na kwaterę zabrałem się znów do libacyi. Wten sposób zyskałem trochę spokoju i snu krótkotrwałego.

Obudziłem się do dnia, aby poczuć na nowo tortury zazdrości i wstydu, a cierpiałem i moralnie i fizycznie, bo nieznośny napój którego tak dużo wypiłem w koszarach, palił mi mózg że mało czaszka nie pękła. Nawet opijum nie byłoby zdolne ukołysać mnie do snu, przewracałem się na pościeli jak chory w malignie.

Sceny z balu stały mi ciągle przed oczami. Napróżno siliłem się wybić je sobie z głowy, i myśleć o czem innem. Ciągle kręciły się w jednem kole, w środku którego była zawsze Isolina de Vargas... Myślałem o wszystkim, co się stało — o tem wszystkiem co mi mówiła.

Przypomniałem sobie każde jej słowo. Z jakąż goryczą straszną uprzytomniałem sobie jej śmiech sarkastyczny i wzgardliwy, kiedy zdjęła drugą maskę...

Piękność jej męczyła mnie już teraz, miałem jakieś nadzieje, bawiłem się marzeniami o przyszłości, a tu, przygoda balowa wszystkie mrzonki rozwiała.

Były chwile że ią nie nawidziłem, a chęć zemsty roiła się po sercu.

Ale mijało to jak błyskawica, i znowu wznosiły się przedemną te cudowne kształty, to serce tak dumne i tak szlachetne, i znowu dusza zapadała w ekstazę i oddawała się ułudnym nadziejom.

Starałem się ocenić moję miłość dla Isoliny, zbadać dla czego tak ją kochałem. Była wyróżniająco piękna, jest to wiele aleć przecie jeszcze nie wszystko. d. c. n.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Krok, ostatni Arkony książe, tragedyja na tle dziejów Słowiańszczyzny północnej w 5 aktach, oryginalnie wierszem napisana przez Bronisława Komorowskiego. Lwów. Nakładem T. H. Richtera. 1874 r. t. 1.

Przebudzona z dźwięków kwilącej liry, poezyja nasza przechodzi w ostatnich czasach na pole szerszej twórczości, w walce potężnych idei budząc do czynu wielkie siły ludzkości. Przyobleczona w szatę dramatyczną, wysnuwa ona z łona zamarłych dziejów przeszłości porywające błyski walki dziejowej, snuje przez żądną zachwytu wyobraźnią tragiczne obrazy łamania się kolosów potęgi wobec przemocy wrogiego naporu. Jaśniejące uroczym blaskiem poezyi życie ubiegłych wieków, osnute w cudną tkankę bujnej wyobraźni, drży potęgą, wysnutą z piersi olbrzymów dziejowej katastrofy. Potężna walka, po której na arenie dziejów martwe gruzy pozostają, a wśród tej walki postacie wielkich bohaterów przeszłości — oto czarowna kraina, z której opromieniona blaskiem twórczej wyobraźni myśl poety, podniosłe wysnuć może obrazy.

P. *Komorowski* zaczerpnął treść do swego dramatycznego utworu z dziejów zamarłej słowiańszczyzny północnej, w łonie której około początku XI wieku powstała walka między starym światem pogaństwa, a nowym błyskiem idei chrześcijańskiej. Historyja zaledwie krótkiemi słowy kreśli tę katastrofę. *Gotszałek*, książe *Botryców*, żarliwy krzewiciel chrześcijanizmu w łonie narodu swego, zostaje zrzucony z tronu przez lud, wierny starej religii przodków. Na miejscu jego zasiada *Krok*, z pokolenia książąt rugijskich, wierny wyznawca i obrońca pogaństwa. Lecz syn Gotszarka, *Henryk* dobija się o tron ojca i w krwawej walce rabuje i gnębi okolice nadmorskie. Chcąc zapewnić pokój ludowi swemu, Krok skłania się do zawarcia przymierza, na „starość bowiem upadł na siłach,“ jak się wyraża dziejopisarz, i dla tego, zawarłszy takowe z Henrykiem, „dogodne wsie mu na mieszkanie ustępuje.“ Pragnąc się jednakże pozbyć wroga, knuje niejednokrotnie spisek na życie jego, lecz uprzedzony przez sprzyjającą mu wiarołomną żonę Kroka, *Sławinę*, Henryk unika morderczego ciosu, i sam nareszcie nasyła przekupionego duńczyka, który skraca dni biednego starca (1005 r.).

W taki sposób historyk kreśli nam te smutne dzieje. Przypatrzmy się teraz tym bohaterskim postaciom przyobleczonym w szatę poetycznego natchnienia. Nie przeczymy, iż poeta, czerpiąc treść do swego utworu z dziejów zamarłej przeszłości, może, stosownie do wymagań sztuki, zmieniać sytuacyje rzeczywiste i wymarzone nawet kreślić postacie, lecz z warunkiem 1) aby to niezbędne było dla harmonii i podniosłości utworu, 2) aby nie tyczyło się rzeczy, jasno przez dzieje określonych i nie krzywiło tym sposobem prawdy historycznej. Zobaczmy, czy wymaganiom tym odpowiada utwór p. K. Autor przedewszystkiem zmienia miejsce wypadków: obiera dowolnie *Arkonę*, siedlisko świątyni *Swantowida* i gród kapłański na stolicę Kroka, i nazywa tego ostatniego *księciem rugijśkim*, gdy, tymczasem nazwa ta określa tylko jego pochodzenie, władzę zaś swą rozpościerał on na zachodnich krańcach *słowiańszczyzny w krajach nadelbiańskich*. Dalej, Krok w tragedyi p. K. robi Henryka księciem *Retry*, która również nie była stolicą książęcą, a tylko siedliskiem życia religijnego. Niesłusznie też autor przedstawia *Ragijan* jako naród zniewieściały, nie zdolny stawić czoła naporowi chrześcijanizmu, gdy tymczasem wiemy z historyi, iż lud ten odznaczał się wśród zachodniej i północnej słowiańszczyzny największą energiją, wojowniczością i zarazem silną nienawiścią do chrześcijanizmu. Na tronie tak upośledzonego narodu stawia autor poczciwego, ale zdziecinniałego, miękkiego i zarazem popędliwego starca. Postać to opromieniona blaskiem prawdziwej poezyi i sympatycznemi nader skreślona barwami; zakrawa tylko nieco na Szekspirowskiego Leara. Wkłada nawet niekiedy autor w usta zbolałego starca słowa, dziwnie przypominające lirę wieszcza Albijonu. Słowa te drżą nieznaną u nas w ostatnich czasach potęgą wyrażenia. Chociaż urocza nader pod względem poetycznym postać *Sławiny* jest zupełnie chybioną. Przedewszystkiem brak tu prawdy historycznej. Historyja przedstawia nam ją, jako zepsutą, wiarołomną kobietę, na którą nawet pada cień prawdopodobieństwa współudziału w spisku na życie męża. Trzymając się prawdy dziejowej, mógłby tu poeta stworzyć postać prawdziwie szekspirowską, ciemnemi lecz, silnemi nader nakreśloną barwami. Tymczasem p. K. zrobił z niej niejasno skreślony typ marzycielki, której duszę, uśpioną w murach ponurego zamku obok starca, którego mężem swym nazywać musi, budzi do życia widziadło innego lepszego świata. Zwiastunem jego jest Henryk, rycerz chrześcijański. Zmiana ta więc tym więcej nas razi, iż nie tylko nie upiększa pod względem estetycznym sztuki, lecz nawet, pozbawiając ją silniejszego niezrównanie efektu, wprowadza żywioł nieco za mglisty i sentymentalny. Wogóle, wszystkie prawie postacie tragedyi nie są wolne od tego nastroju. Bohaterska postać *Ludimira*, który na czele ludu powstał przeciwko podnoszącej się hydrze chrześcijaństwa, przy końcu pogrąża się we mgle sentymentalnej bezczynności. Kapłanka *Lutka* nie potrzebną swą miłością dodaje do ogólnego dźwięku jeszcze jeden ton dysharmonijny, inne zaś bardziej silne na arenie czynu i więcej z główną akcyją związane postacie *(Makart i Sławój)* niesłusznie na drugi plan są usunięte. Postać *Henryka* niezbyt jasno się określa. Promienieje ona światłem jasnych promieni, które blaskiem swym zachwycają myśl naszę, lecz nie odkrywają całkowicie duszy bohatera. Rycerski ten, lecz miękki zarazem młodzian nie pragnie mścić się za śmierć ojca. Czegóż więc pragnie: — czy tronu tylko, czy tryumfu idei chrześcijańskiej? To ostatnie zdaje się najprawdopodobniejszym. Szkoda jednakże, że autor jaśniej nie uwydatnił dążności Henryka.

Akcyja, w pierwszych trzech aktach przeprowadzona bardzo żywo i umiejętnie, następnie wikła się, grzesząc brakiem skupienia, jednolitości i zbytnim nagromadzeniem niepotrzebnych efektów scenicznych. Razi szczególnej wielka ilość śmiertelnych katastrof, niezłączonych węzłem ścisłej konsekwencyi, z przewodnią sytuacyją utworu i odrywających myśl czytelnika od głównej katastrofy.

Wszystkie te jednakże usterki nagradza w znacznej części prawdziwie piękny i wysoki nastrój poetyczny, drżący siłą prawdziwego talentu. Wiersz prześliczny, niekiedy prawie szekspirowski. Rzadko doprawdy w jakimkolwiem z nowszych utworów sztuki poetycznej, znaleść tak mistrzowsko wykończoną formę. Każdy ton płynie tu z serca, przejętego prawdziwym poczuciem piękna, i porywa dziwną potęgą słowa. W szeregu tych tonów ani jednego fałszywego nie słychać dźwięku. Wszystko tu harmonijne, równe, jakby dłutem sztukmistrza wyrzeźbiona. A przymiot to cenny nader i nabyć go nie łatwo. Wskazane wyżej wady wynikają z braku doświadczenia i wyrobienia artystycznego, z braku może głębszych studyjów nad sztuką dramatyczną i szerszych przygotowawczych studyjów histo-

rycznych, co uwydatnia się nawet w braku odpowiedniego w wyrażeniach kolorytu czasu. Lecz wszystkie te wady dalsza usilna praca łatwo usunąć może. Śmiało więc powitać możemy w panu K. prawdziwego kapłana sztuki i żywimy błogie nadzieje, iż zbogaci piśmiennictwo nasze niejednym prawdziwie podniosłym utworem poezyi dramatycznej.

A. Pilecki.

ŚLADY ŻYCIA.

V.

Tyle życia, ile... w czynie.

Od pewnego czasu księgarnia p. Lewickiego daje dowody gorliwej i zewszechmiar uznania godnej działalności. Swieżo wydany przez nią „Wykład Statystyki" Haushofera obejmujący wszystkie działy tej nauki w sposób dokładny a treściwie przedstawiony, należy niewątpliwie do najpożyteczniejszych wydawnictw jakie się w ostatnich czasach ukazały. Przekład jego staranny przygotowany został przez p. p. S. S. i L. Studentów prawa. Cena też przystępna rs. 2 k. 80. Nakładem tejże księgarni wyszło cenne dzieło znanego autora „Fizyki społecznej" p. t. *Wykład społeczny i jego prawa* (cena rs. 1 k. 50.) i kilka słów o kobietach pani Elizy Orzeszkowej już w drugiem wydaniu (cena rs. 1.) Spółka księgarzy Warszawskich odważa się obecnie na większe wydawnictwa po kilku drobniejszych próbkach. Pierwszy zeszyt zapowiedzianej przez nią „Historyi XVIII i XIX wieku, do upadku cesarstwa francuzkiego" przez Schlossera, już wyszedł z druku i dobrze się przedstawia. Pożądanemby było tylko spolszczanie przypisków w obcych językach podawanych. Prenumerata na całość wynosi rs. 16. Ukończonemi zostały następujące pożyteczne wydawnictwa: *Dzieje Anglii* Macaulaya w przekładzie pod redakcyją p. Pawińskie go (10 tomów rs. 7 z przesyłką 8.) Henryka Tain'a słynne dzieło *O inteligencyi* w przekładzie p. St. Tomaszewskiego, nakładem redakcyi „Niwy" (dwa tomy w jednym cena rs. 3 — dla prenumeratorów Niwy rs. 2.) i równie głośne dzieło Darwina „O wyrazie uczuć" z rycinami także nakładem Redakcyi Niwy (rs. 3). Niebrak więc wydawnict prawdziwie naukowych—potrzeba tylko czytelników; łatwiej niewątpliwie znajdzie ich wydawnictwo p. Grubeckiego kompletnych dzieł powieściowych Walter Skota, jeźli tylko wydawca starać się będzie o poprawność tłomaczeń i regularność wydawnictwa. Na zakończenie tego biblijograficznego ustępu, dzielimy się z czytelnikami wiadomością, że zawieszone z przyczyn od nas niezależnych wydawnictwo „Wychowania Domowego" na nowo się rozpocznie i że Wypisy polskie są już pod prasą, Historyja Polska przygotowuje się — a Geografija po przedrukowaniu kilkunastu kartek będzie puszczoną w obieg.

Zabawy choreograficzne niefortunnego od lat wielu karnawału, ustąpią wkrótce miejsca innym bardzo urozmaiconym. Maluczko, a ujrzymy cyrk p. Salamońskiego, do którego Warszawa czuje pewną słabość—ba! ujrzymy nawet i salę ratuszową przepełnioną tłumem ciekawych, na odczytach dla Osad Rolnych — w czem przyjmą udział obok mężczyzn, panie: Orzeszkowa i Morkowska. Będzie więc ludu co niemiara. Odczyty rzemieślnicze będą też trwały, równie jak dotąd — a musimy przyznać, że poprzednie nasze narzekania nie mają już podstawy, gdyż słuchacze zbierają się tłumnie. Szczególnie podobały się ostatnie dwa odczyty p. Jankowskiego z dziedziny botaniki, którego „Gawędy Ogrodnicze" zyskały zapewne uznanie i naszych łaskawych czytelników.

Z dziedziny „komunikacyj "notujemy pogłoskę, że począwszy od lipca opłata za listy wynosić ma tylko 5 nie zaś 10 k. i że listonoszom nic się nie będzie płacić za odnoszenie do domu; byłaby to reforma, któraby z pewnością wpłynęła na znaczne ożywienie korespondencyi — a jeżeli dla kogo, to dla redakcyj, zmuszonych wydawać conajmniej kilkanaście rubli miesięcznie na listy—zmiana ta byłaby wielce pożądaną.

A propos pogłosek musimy tu zaznaczyć jedną z zabawnych naszych słabostek. Nie mówimy tu o pogłoskach poważnych, które mają pewną podstawę i mogą być co najmniej *domysłem*, ale o prostych farsach, których treść niedająca się z góry przewidzieć, nie ma prócz tego żadnego punktu oparcia.

Polem tego rodzaju propagandy są zwykle nasze niepoprawne skłonności do wielkiej polityki. Kto na nie rachuje, ten może bezkarnie wprawić w ruch języki całej Warszawy, nie mówiąc już o Lublinie, Radomiu i t. p. Tak np. w zeszłym tygodniu puścił ktoś farsę, że ks. Bismarck został zabity, i oto w kilka godzin wszyscy spotykający się zamieniają ze sobą następujące słowa:

— Cóż? słyszałeś o Bismarcku?

— Słyszałem.

— I jak myślisz, czy prawda? bo ja nie wierzę.

— I ja też. Zwyczajna „kaczka brukowa".

Czemuż więc rozgłaszacie szanowni panowie, skoro sami nie wierzycie? Powstrzyman ie języka za zębami byłoby chyba najlepszym sposobem uchronienia się od „kaczek brukowych."

Piękny fakt mamy do zanotowania: Oto 60-ciu lekarzy wychowańców Uniw. Warsz. nadesłało tutejszemu Towarzystwu Lekarskiemu zobowiązanie, że każdy z nich w ciągu lat trzech, zobowiązuje się złożyć rs. 50 na rzecz wydawnictwa najpożyteczniejszych książek lekarskich.— Dowiadujemy się również że studenci Politechniki w Monachijum przygotowują przekład obszernego podręcznika do nauki miernictwa, którego brak nam było dotychczas (dzieło polskie Jarmunda jest już dziś niaodpowiedniem i nie wystarczającem). Tłomacze chcą odstąpić swój przekład bezinteresownie, jeśli tylko który z pp. wydawców podejmie się nakładu. Porozumieć się można za pośrednictwem redakcyi *Niwy.*

W kwestyi zapisu ś. p. Staszica toczą się żywo dziennikarskie narady— smaruje się bibuła, ba, zapowiadają się nawet publiczne na odczyty (!) a zapis po dawnemu spoczywa—wyczekując zmiłowania *Bożego* Mówimy „bożego" bo ludzie widocznie, ulitować się nad nim i obrócić na korzyść ogólną, nie umieją czy nie chcą. Gdy setki potrzeb spółecznych błagają o ich zaspokojenie, gdy najpożyteczniejsze projekta przepadają dla braku odpowiednich materyjalnych zasobów, olbrzymia natomiast zapisowa suma leży i leży od tak dawna bezczynnie. A dziennikarze smarują sążniste artykuły i przygotowywują sążniste również zapewne o sumie zapisowej odczyty. I około czego też ta jakoby wyczerpująca dyskusyja głównie się kręci, co stanowi jej treść żywotną? Oto nic więcej tylko dwa wyrazy: jedni mówią „strzyżone" drudzy wołają „golone". Jedni chcą sal zarobkowych, drudzy szkoły rzemieślniczej. Inaczej mówiąc, jedni i drudzy mają racyją, bo tak sale zarobkowe jak i szkoła rzemiosł zdają się być rzeczywistą potrzebą. Nikt atoli jak dotychczas nie zadał sobie trudu— z obliczeniem jaki też na założenie podobnych instytucyj potrzebny byłby *sine qua non* fundusz, i nikt tym sposobem nie przyszedł do odpowiedzi, czy obok projektowanej szkoły rzemiosł, suma zapisowa nie mogłaby starczyć na ufundowanie choćby w skromniejszym nieco zakresie, sali zarobkowej. Bądź co bądź czasby doprawdy już było coś o zapisie postanowić i wziąść się raz nareszcie do dzieła, bo doprawdy takie marnowanie „czasu i atłasu" zbyt smutnie świadczy o naszej dojrzałości(?) napolu najprostszych spraw i zadań społecznych. — Potrzeba nam szkoły rzemiosł, potrzeba nawet gwałtowna—i na zaspokojenie potrzeby tej, mamy gotowy fundusz. Zamiast więc ze sposobności skorzystać i rzecz tyle pożądaną przyśpieszyć, my debatujemy przelewając z pustego w próżne. Długoż jeszcze tak będzie?!

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.